Nr. 78. Lwów — Czwartek dnia 6 Kwietnia. Rok 1893.

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

Cena prenumeraty we Lwowie:
Bez dostawy miesięcznie 75 ct.
Z dostawą do domu „ 1 złr.

Prenumeratę miejscową przyjmują:
Biuro dzienników ul. Karola Ludwika l. 9.
Trafika przy ul. Karola Ludwika l. 5.
„ J. Weinego przy ul. Czarnieckiego l. 1.
„ przy ul. Słowackiego (obok hot. Diany)
„ Niemojowskiego ul. Jagiellońska l. 6.
„ Miłałowskiego Hotel Żorża.
Prenumeratę z dostawą do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników ul. Karola Ludwika l. 9.

Numer kosztuje 4 ct.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. na prowincyi.
Miesięcznie złr. 1.10) Półrocznie złr. 6
Kwartalnie „ 3.— (Rocznie „ 12
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Prenumeratę należy przesyłać przekazami. Do przesyłanej w kopertach pieniężnych należy dodawać 5 ct.

CENA OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach" za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . 25 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu" przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika Nr. 9.

Dziś:	św. Celestyna P.	Czetwer Weł.	Adres Redakcyi i Administracyi:	Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**	Wschód słońca g. 5 m. 37	Długość dnia g. 12 m. 53
Jutro:	św. Hermana W.	Piatok Wełyki	**Ulica Sykstuska l. 45.**		Zachód „ „ 6 „ 30	Przybyło dnia od wczoraj 3 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 5 kwietnia.

Russyfikacya Nadbaltyckich prowincyi, dokonywana gwałtami, zaczyna drażnić opinię niemiecką i zmusza ją do zastanawiania się nad skutkami każdego prześladowania, czy to religijnego, czy narodowego. Niemcy mają pod tym względem klasyczne przykłady, z których czerpią otuchę co do przyszłości rodaków swych nadbaltyckich, nie bacząc na to, że pocieszanie się takimi właśnie przykładami zawiera w sobie gorzką ironię. Trzynastoletnia wojna z katolikami dała im nowe siły i w końcu tryumf, który wywiera dziś potężny wpływ na wszystkie dziedziny społecznego i politycznego życia narodu. Bismarkowskie prześladowanie Kościoła stworzyło potęgę, której nikt nie przypuszczał; obaliła ona swego gnębiciela, nie darowała i jego mamelukom, a dziś nagina do swej woli całe protestanckie państwo. Tak dziwnemi dla ludzkiego umysłu kolejami nieraz już torowała sobie drogę odwieczna prawda i sprawiedliwość. Jeszcze bardziej uderzający przykład przedstawia polska polityka Bismarka, będąca teraz znowu przedmiotem dyskusyi w prasie niemieckiej właśnie z powodu russyfikacyjnych gwałtów w Nadbaltyckich prowincyach. Podobieństwo jest ogromne. Tu i tam olbrzymie kolosy państwowe całą swą wagą spadły na małe organizmy narodowe, którym przedtem odebrano wszelką samodzielność i możność obrony. Spętanych, osłabionych, przywalono wszystkimi środkami przemocy, jakimi rozporządza nowoczesne państwo. Zdawało się tedy, że nie ma ratunku dla skazanych na zagładę i że wykreślenie ich ze świata odbędzie się bez wielkiego zachodu. Myśl narodu panującego krzyknęła tym nieszczęśliwym słowo ostatecznego wyroku: Wytępić ich! — a wykonawca tej narodowej woli odrzekł ze spokojem i stanowczością kata: Będą wytępieni! — Jakże się stanie w Nadbaltyckich prowincyach? Czy zginą tamtejsi Niemcy, a ich cywilizacya, praca, krew i ciała staną się humusem, na którym się rozrośnie rosyjski świat, rosyjskie życie?

Narodowe uczucie mówi Niemcom, że to być nie może, być nie powinno i nie będzie, bo jeszcze nigdy nie było. Na Polakach jest świeży dowód, że ciosy nie zabijają narodu, lecz jak z krzemienia dobywają z niego iskry, a z tych iskier powstaje nowy płomień życia. Takie zdania, zawierające zabójczą krytykę polityki bismarkowskiej, często teraz odzywają się w Niemczech, zwłaszcza południowych, katolickich, gdzie bankierski liberalizm jest słabszy niż gdzieindziej i gdzie nie ma takiej nienawiści do Polaków jak w Prusach, a za to uczucie patryotyczne żywsze jest i szlachetniejsze.

Ale i w Prusach już potępiają bismarkowską politykę gwałtów. Czynią to może dla pocieszenia się co do losu nadbaltyckich Niemców, ale w każdym razie rozumują dobrze. Nie mogą wyrzec się germanizacyi, ale odtrącają i ganią gwałty. W tej dyskusyi najdobitniej przemawia niemiecki pastor, noszący polskie nazwisko Abramowskiego, a drukujący swe prace w pastorskim dzienniku *Reichsbote*. Jego zdaniem, germanizacya powolna, zawoalowana, homeopatyczna byłaby o wiele lepsza, może całkiem skuteczna, gdy tymczasem gwałtowna i drakoniczna wywołała skutki wbrew przeciwne celowi. Najgorzej zaś zaszkodziła kolonizacya. Tę ostatnią akcyę w mgnieniu oka pochwyciła prasa polska i zrobiła z niej „piłę agitacyjną", która ogromnie zaszkodziła germanizacyi Wielkopolski. Zaalarmowano umysły, rozpalono serca żalem i nienawiścią; wielka skarga odezwała się w pałacach i wieśniaczych chatach, w niezliczonych stowarzyszeniach i klubach, na odpustach i jarmarkach. Tak było w pierwszej chwili. Potem komisya kolonizacyjna zaczęła swą działalność — i oto w dziennikach polskich zaprowadzono pręgierzowe rubryki, w których podawano nazwiska kupczących ojczystą ziemią. W narodzie rozwinął się ogromny ruch patryotyczny, poczucie doznanej krzywdy podniosło świadomość i wrażliwość narodową, poczęto zbierać kapitały na parcelacye, które przeciwstawiono działalności komisyi pruskiej. Jeżeli ekonomiczny skutek tej obrony był mały, to natomiast moralny można nazwać potężnym. Sprzedawano komisyi najgorsze ziemie i zaraz lepsze kupowano u Niemców. Na domiar, strach przed germanizacyą nie wypłoszył Polaków do Monako, dokąd im drogę wskazywał Bismark, lecz podyktował im życie nadzwyczaj oszczędne, pracowite, przezorne; podyktował im jeszcze nową cnotę: solidarność. Poczęli kupować tylko u swoich, usunęli służbę niemiecką, cofnęli się od życia towarzyskiego z Niemcami — i oto stanęły na jednej ziemi dwa wrogie obozy, jako skutek zakusów kolonizacyjnych. A ta kolonizacya, te małe niemieckie wysepki na polskiem morzu, cóż znaczą? Będą spolonizowane, albo się zasklepią same w sobie, jak trychiny w mięsie. Tylko samodzielność społeczeństwa niemieckiego na tej polskiej ziemi osłabnie, bo każdy sprowadzony „niemiecki Maciek" spuszcza się zupełnie na rządową pomoc, nie pracuje, nie myśli o sobie i swej rodzinie, lecz nos zadziera, fanfaronuje, spełnia wielką polityczną misyę. Ten nowy niemiecki żywioł jest całkiem bezradny i za słaby do walki z narodową, polityczną, kościelną i towarzyską organizacyą Polaków, którzy między sobą ostro się sprzeczają, ale do walki z Niemcami zawsze razem idą z niebywałą w tym narodzie karnością. Słowa wyrzeczone niedawno przez weterana walk parlamentarnych stronnictwa polskiego, przez członka Izby panów, J. Morawskiego: „Najmniejsze wyłączenie się z ścisłej, milczącej, surowej solidarności w naszem Kole i społeczeństwie prowadzi do rozluźnienia, prywaty i anarchii, do tych przywar naszych historycznych, spoczywających jeszcze i dziś na dnie każdej polskiej duszy" — te słowa znajdują żywy odgłos w całem społeczeństwie polskiem, które też staje się coraz bardziej karnem wtedy właśnie, gdy w innych narodach maleje i zanika ta cnota. Fundusz stumilionowy komisyi kolonizacyjnej, wydany cały, przysporzy Niemcom najwięcej 167 tysięcy hektarów, czyli 34 mil kwadratowych, a na tej ziemi można będzie osadzić 9.500 rodzin, czyli, licząc 5 osób na rodzinę, 47.500 dusz niemieckich. Jest to kropla w morzu, która zginie bez śladu i germanizacyjnych planów nie spełni. Trzeba umiejętnie patrzyć; trzeba widzieć, że niemieckość cofa się z Wielkopolski, pomimo kolonizacyi gburów szwabskich, pomimo nasyłania obcych urzędników, nauczycieli i przedsiębiorców rządowych, pomimo wreszcie wydalenia trzydziestu tysięcy Polaków za bismarkowskich czasów: cofa się dlatego, że straciła aureolę wyższej cywilizacyi, stała się synonimem ucisku i niesprawiedliwości. Niemiecki rzemieślnik, kupiec, lekarz, budowniczy, technik nie może się w Wielkopolsce utrzymać, bo Polacy nie dadzą mu zarobku, na każdym kroku utrudnią mu życie i zarobkowanie. Więc choć rząd rozpoczął germanizacyę i prowadzi ją przy pomocy 40-sto milionowego narodu, ale niemieckość odpływa z Wielkopolski, bo półtoramilionowy naród polski wykrzesuje z siebie takie iskry, których istnienia nikt w nim nie przypuszczał. Ogólna konkluzya tych rozumowań pastora Abramowskiego jest ta, że trzeba zaniechać wszelkich środków przymusowych, wszelkiej wyraźnej akcyi wrogiej narodowi polskiemu i germanizować go tylko powoli, samą wyższością cywilizacyi niemieckiej, sposobem zakwefionym.

Jest to niezawodnie sposób mądrzejszy od użytego przez Bismarka. Uznaje to już rząd berliński, którego „nowy kurs" polega w stosunku do nas na unikaniu „szpilkowych ukłuć", jak się wyraził minister oświaty p. Bosse. Sądzimy jednak, że i na ten cywilizacyjny sposób już za późno. Odraza do niemieckości zbyt głęboko wkorzeniła się w polskie uczucie, a nadto jesteśmy przecież nie żywiołem etnograficznym, ale narodem historycznym, mającym własną cywilizacyę, która na nasze potrzeby zupełnie wystarcza.

Nie sądzimy także, żeby nasz przykład mógł się powtórzyć na Niemcach nadbaltyckich. Każdy sądzi drugich po sobie. Skoro Niemcy są twórcami gnębienia narodowego, to widocznie, sądząc po sobie, mniemali, iż ono da pożądane skutki, a zatem prawdopodobnie, pomimo swej niby lepszej cywilizacyi, nie znajdą w sobie tych iskier, które wykrzesali ze społeczeństwa wielkopolskiego. Szczerze życzymy nadbaltyckim Niemcom pomyślności w ich walce z russyfikacyą, ale nam się zdaje, że oni się jej nie oprą.

Bułgarscy emigranci, mieszkający w Serbii, zamierzyli urządzić jakąś okropną niespodziankę księciu Ferdynandowi, gdy on przez Serbią będzie jechał do Włoch na ślub z księżniczką parmską. O tych zbrodniczych przygotowaniach emigrantów dowiedziano się w Sofii i wystosowano do belgradzkiego rządu notę, w której bez ogródek powiedziano, że cała Serbia odpowie za najmniejszą przykrość wyrządzoną księciu. Z Belgradu natychmiast wyszły uroczyste zapewnienia, że emigranci są najporządniejszymi ludźmi i nic złego nie zamierzają, ale swoją drogą wzięto ich pod ścisły nadzór.

Za poradą Rosyi i Francyi wystosował król abbisyński notę do wszystkich mocarstw europejskich z zawiadomieniem, że nie myśli odnawiać traktatu, zawartego z Włochami w roku 1889, a wygasającego na wiosnę roku przyszłego. Jak wiadomo, obowiązał się król abbisyński tym traktatem utrzymywać ze światem stosunki polityczne wyłącznie za pośrednictwem dyplomacyi włoskiej, co było uznaniem protektoratu włoskiego. Otóż ten stosunek zrywa etyopski negus Menelik, posadzony na tronie przez Włochów.

KORESPONDENCYE.

Praga 1 kwietnia.

Wypada wspomnieć o wystawie, którą Praga ma oglądać w roku przyszłym, a która, o ile wnosić można z przygotowań, powinna się stać magnesem, ściągającym licznych gości nad brzegi Wełtawy. Będzie to czeska wystawa etnograficzna. Komitet, urządzający ją, pojmuje etnografię w najrozleglejszem znaczeniu. Chce on pokazać światu naród czeski we wszystkich jego odłamach i we wszystkich formach jego życia. Na placu wystawy mamy ujrzeć lud czeski wraz z całą rozmaitością strojów, domostw, zabaw, obrzędów i zatrudnień, mamy widzieć go przy pracy umysłowej i fizycznej, oglądać płody jego pomysłowości, mieć przed oczyma całą mozaikę etnograficzną, pokrywającą powierzchnię ziem czeskich od Szumawy po odnogi Karpat. Nieprzestając na tem, chcą twórcy wystawy dać przybyszom obraz historycznego rozwoju swego plemienia, pokazać im, jak przodkowie Czechów dzisiejszych mieszkali, ubierali się i bawili w wiekach ubiegłych. Wszystko to, okraszone muzyką, przedstawieniami teatralnemi i zabawami ludowemi, ma być zajmującem i nauczającem zarazem. Do otwarcia wystawy upłynie jeszcze rok cały. Widząc zapał, z jakim się biorą do rzeczy, i mając na względzie zasoby materyalne, któremi rozporządzają, niepodobna wątpić o powodzeniu przedsiębiorstwa. Jak we wszystkiem, co się tu robi, tkwi i w tem myśl polityczna. Wystawa ma dowieść świeżo, że ziemia ta jest czeską i że czeską zawsze była. Można być pewnym, że organizatorowie nie zapomną o żadnym zakątku swego kraju, i że przedewszystkiem w pawilonach wystawy reprezentowane będą okolice, w których żywioł czeski najbardziej czuje się zagrożonym i najbardziej potrzebuje podniety do oparcia się groźnemu współzawodnictwu niemieckiemu.

Miejscem wystawy będzie ta sama przestrzeń, na której przed dwoma laty oglądano powszechną wystawę krajową. Znaczna część budynków, które pozostały dotychczas, będzie użytą na pomieszczenie wystawy przyszłorocznej. Niektóre będą stosownie przebudowane i zmienione. Oprócz tego wzniesione zostaną budowle nowo. Naśladując to, co Wiedeńczycy zrobili na wystawie teatralnej i muzycznej, chcą Prażanie odbudować na placu wystawy część starożytnej Pragi i zapełnić ją barwnym i gwarnym rojem przekupniów, sprzedających współczesne wyroby za nowożytne, guldeny lub nawet korony (monetę przyszłości!) a przybranych w stroje z lat dawnych. W pobliżu znajdzie w osobnym budynku pomieszczenie bogata i szczegółowa wystawa szkolnictwa czeskiego. Nieco dalej rozgospodaruje się dyrekcya teatru ze swym obfitym zapasem kostiumów, instrumentów, manuskryptów, obrazów i rycin. Osobny pawilon otrzymają literaci i dziennikarze. Staną oprócz tego pawilony dla historyi cywilizacyi, strojów historycznych, ubiorów kobiecych, sztuki ludowej, dla sądownictwa i zabytków kościelnych, dla myśliwstwa, pszczelnictwa, rybołówstwa. W innej stronie ujrzymy kryjącą się w cieniu drzew wieś czeską. Środek jej zajmie figura ś. Jana Nepomucena, Patrona ludu, a wieńcem dokoła rozłożą się chaty włościańskie, z których każda przedstawiać ma siedzibę chłopa czeskiego z innych okolic. Wnętrze chat mieścić będzie wszystko, czego lud używa w życiu codziennem i w chwilach uroczystych. We wspaniałych budynkach, znajdujących się u wejścia na plac wystawy, a znanych tym, którzy odwiedzali wystawę poprzednią, pomieści się wystawa archeologiczna, wystawa starożytności i sztuk pięknych, wystawa zabytków sztuki wojennej, heraldyki, przemysłu i rolnictwa. Olbrzymi amfiteatr, wznoszący się opodal, ma wystarczyć na pomieszczenie ośmiu tysięcy osób, a tuż w sąsiedztwie przeznaczono rozległą niezabudowaną przestrzeń na zabawy dla ludu. Nie wymieniliśmy chyba tylko budynków wszelkich rozmiarów i wszelkiej struktury, w których nieprzerwanym strumieniem lać się będzie wyborne piwo czeskie, napój, słynący szeroko w świecie, a tak ponętny podczas letniej spiekoty.

Jak każda wystawa praska, tak i ta znajdzie rękojmię powodzenia w ogromnym napływie cudzoziemców, przelewającym się co roku przez Pragę w porze letniej. Tłumy ludzi, szukających zdrowia, leczących swe reumatyzmy i podagry w Cieplicach, katary żołądka w Karlsbadzie, topiących w wodzie francensbadzkiej blednicę i inne niemoce niewieście, a pomagających sobie maryenbadzką na zbyt powolne trawienie, zawadzają o Pragę. Wielu, jadąc do wód, wypoczywa tu po trudach podróży i używa swobody, nim wybije godzina poddania się despotyzmowi lekarzy kąpielowych. Inni, korzystając z przywróconego zdrowia, próbują sił, nie tracąc czasu. Bliskość Drezna i saskiej Szwajcaryi sprawia, iż część turystów zbacza ztamtąd do Pragi. Bogaci Anglicy i Amerykanie zatrzymują się tu w przejeździe z Niemiec północnych do Wiednia. Dni, spędzonych w stolicy Czech, nie pożałował żaden podróżny. Stare miasto z ratuszem, kościołem tyńskim i bramą prochową, most na Wełtawie z obronnemi basztami i góra zamkowa ze starożytnemi Hradczanami i gotycką katedrą, królującą w śnieżystej bieli nad rzeszą domów, piętrzących się na stromych skałach, nęcą każdego, kto zna je z obrazów i opisów, a wabią wspomnieniem tych, którzy je już raz w życiu oglądali.

Ale do udania się wystawy potrzebny jest nietylko napływ zwiedzających. Potrzeba także organizacyi i funduszów. W pierwszej są Czesi mistrzami. Tam zaś, gdzie bogactwo przelewa się po za brzegi, a umiejętność organizowania się weszła w krew społeczeństwa, skierowanie zasobów ku pewnemu celowi jest już rzeczą łatwą. Wielka, potężna, rozgałęziona organizacya objęła tu swemi ramionami wszystkie jednostki, kieruje niemi częstokroć bez ich wiedzy, wciska się w życie prywatne.

Ogniskami jej są tysiące stowarzyszeń, bez których Czech obejść się nie może, a które zrosły się ze zwyczajami i obyczajami narodu i, zaspakajając intelektualne i towarzyskie potrzeby mieszkańców, wplatają ich w jedno wielkie koło. Umiejąc liczyć się z groszem, wolą Czesi i Czeszki spędzać wieczory w „besedach" i „spolkach," niż w domu. Tam spotyka się znajomych, których nietrzeba ugaszczać, tam ma się zbiór dzienników i dobre piwo, tam można usłyszeć wyborną muzykę, zaśpiewać chórem, a nawet potańczyć. Pusto więc bywa wieczorami w mieszkaniach, a za to wesoło i ludno w resursach.

Cała agitacya polityczna i społeczna, która tu w ostatnich kilkudziesięciu latach tak wiele zdziałała, przystosowała się do tego sposobu życia. Pomysłowość komitetów umie łączyć przyjemne z pożytecznem. Między śpiew i muzykę, których goście słuchają przy piwie i kotletach, wsuwa się to odczyt historyczny, to deklamacyę, to wykład o sprawach bieżących. Na tych to zebraniach, codziennych niemal, płyną składki na cele publiczne, rozchodzą się między ogółem hasła polityczne, szerzy się poczucie solidarności, a różne instytucye publiczne tu właśnie znajdują możność zyskiwania gorliwych przyjaciół i opiekunów. Bez tego życia wieczornego nie istniałoby w Pradze niejedno, co dziś zaszczyt przynosi Czechom.

Zaszczepienie takich zwyczajów w innych społeczeństwach zabiłoby wszelkie życie towarzyskie, skupiające się przy ogniskach rodzinnych, a ostatecznie mogłoby i te ogniska zagasić, ale pamiętać trzeba, że dzisiejsza inteligencya czeska nie zaznaczała nigdy owego życia towarzyskiego. Nie wie ona o niem ani z własnych wspomnień, ani z podania. Pokolenie poprzednie wyszło z warsztatów i chałup włościańskich. Dzisiejsze stworzyło resursę czeską z jej najrozmaitszemi odmianami, resursę, pełną życia, rozbrzmiewającą echem pieśni, tętniącą gwarem niewyszukanych żartów, przeplatanych często słowem poważnem i wezwaniem do obywatelskiego czynu. Wybrańcy losu usiłują dziś stworzyć salon czeski, ale ogół mieszczaństwa strzeże swych *spolków* i *besed*, bo one stały się dla niego takiemi przybytkami obyczaju i wspólnej myśli, jakiemi gdzieindziej są domy wiejskie i miejskie z nieodzownym salonem, świadkiem tylu gościnnych przyjęć, tylu zebrań, tylu gawęd o wszystkiem, co domownikom i gościom życie zapełnia.

Piśmiennictwo i sztuki reprodukcyjne

na wystawie krajowej we Lwowie w r. 1894.

(Grupa XXIII).

Według regulaminu organizacyjnego powszechnej Wystawy krajowej, grupa XXIII ma obejmować następujące działy:

1. Piśmiennictwo; 2. Instytucye i Towarzystwa naukowe i literackie; 3. Dziennikarstwo; 4. Księgarstwo; 5. Drukarstwo, litografię i inne sztuki reprodukcyjne; 6. Fotografię; 7. Introligatorstwo.

W dziale pierwszym, mającym przedstawić obraz piśmiennictwa polskiego z całego stulecia, a to poczynając od r. 1794, ograniczono się na zestawieniu tablic graficznych, mających dać dokładną statystykę dzieł wychodzących z pod pras drukarskich, z uwidocznieniem corocznej produkcyi, czyli dorobku literackiego, tak, aby każdy rok wykazywał dokładnie przyrost lub ubytek w umysłowym ruchu wszystkich ziem polskich. Zestawieniem takich tablic zajmie się krakowska Akademia

---

129)

WIARUSY

POWIEŚĆ

WACŁAWA MASŁOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Dzik słuchał bardzo uważnie, przymknąwszy oczy i czasami kiwając głową. Reutt już skończył, a on jeszcze jakby się wsłuchywał w echo słów jego, potrząsał zwolna głową i powtarzał w zamyśleniu:

— W istocie!.. w istocie! Nic mu nie pozostaje, jeno zwyciężyć... Musi być bardzo pewny siebie. Gra *va banque*. Nie inaczej, tylko ma wszystkie atuty!

— Jakie atuty! — krzyknął Reutt. — Po prostu w głowie mu się przewróciło od tych niby przewag dotychczasowych. Wbił się w zarozumiałość i zginie marnie, jak ruda mysz!

— Nie przeczę, — zgodził się Dzik — może zginąć, może... jeśli wszystko tak jest, jak przedstawiasz.

Reutt uderzył ręką po kolanie i rzekł:

— Mówię: do dziesięciu dni skończy się ta wojna, a za miesiąc i zapomniemy o niej. Aż szkoda, że tak prędko: człek się porządnie nie nawącha prochu, nie skosztuje czerkiesów... Ano, niech tam! W Szurze też nieźle się żyje i gdyby nie ten szwab Olgerode, to i do nieba nie byłoby tęskno.

— Niechże Olgerode skacze Szamilowi do oczu, — rzekł Dzik, — a ty, pułkowniku, trochę się zaszanuj. Zawsze to lepiej w takich razach, to jest w cudzej sprawie, nie dosadzić, jak przesadzić. Ze szczerego serca radzę!

— Dobrze! To i ja ci poradzę, i wszystkim wam: wykupcie się z wygnania! Jest sposobność, jakiej drugiej się nie doczekacie. Z wami, czy bez was, Szamil po łbie dostanie na śmierć. Ani zipnie! Niech-że was przy tem widzą!

— Nie może być! — zawołał Trylicki. — Pierwsze, że my nie wrogowie czerkiesom, drugie i ważniejsze — że nie sojusznicy tych tam.. niech nie nazwę!

— To jest, z przeproszeniem, głupstwo! — rzekł Reutt. — Wasza neutralność tyle właśnie Szamilowi pomoże, co umarłemu kadzidło. Jeśli o siebie nie będziecie mieli starania, to któż będzie miał? Po łbie się postukaj, stamtąd przyjdzie odpowiedź: pilnuj swego zysku! Tak czynią nietylko ludzie, ale narody i przez to właśnie w znaczenie rosną. Co wam Szamil: brat, czy swat? A w Polsce wy potrzebni.

— Nie może być! — powtórzył Trylicki. — To jakbym sam sobie dał w pysk!

— Mów wilku pacierz, a wilk woli kozią macierz! — zawołał zniecierpliwiony Reutt. — To już się nie zgadamy, co zresztą wszystko mi jedno, nie dla namowy przyjechałem do was. A już mi i w gardle wyschło i powieki się zamykają. Jeszcze to jedno powiem, że imperatorowi coś tam się urodziło, będzie tedy ogólna amnestya, już poczciwy Kluk i was wciągnął do spisu. Nie przeskrobcież czego tymczasem. A teraz spać!

Ksiądz już drzemał z głową zwieszoną na piersi, z rękami na kolanach, trzymając w jednej otwartą tabakierkę, a w drugiej szczyptę tabaki i czerwony fular. Obudzony przez Dzika, zerwał się żwawo i pytał jeszcze zaspany:

— Co?.. co? Władek przyjechał?... Gdzie?

— Przyśniło się wam, ojcze, — odrzekł Dzik. — Zdrzemnęliście się trochę.

— O! o! nie wmawiaj, proszę! — mówił staruszek, przecierając oczy. — Ale już rzeczywiście późno, czas spocząć... Więc nie ma Władka? To dziwna! Głos jego słyszałem

Dzik wziął się za skronie.

— Może on jest w ciężkich opałach? — wymówił drżącym głosem. — Może właśnie pomocy naszej wzywa?... Ach, to jest dla mnie męka i kara, żem go samego puścił.

— Nic mu się nie stanie, — rzekł Reutt. — Jeśli się wyśliznął z rąk Olgerodego, to już wierzę, że z każdej topieli wypłynie. Ano spać! Niewiele już tej nocy zostało.

Pożegnali się tedy i rozeszli, ale w chwilę potem Trylicki wszedł do Dzika.

— Naczelniku! — rzekł. — Cóż będzie z nami? Tak mi w głowę zajechało gadanie Reutta, że sen przepadł i waryacya się czepia. Co myślisz?

— Myślę, że Szamil sprawi Moskalom piekielnie gorącą łaźnię!

— Tak?.. Ano, i owszem! Ale ja nie o to pytam. Co będzie, jeśli Moskale wezwą nas do swego wojska?

— Nie wezwą, bo nie znajdą.

Trylicki spojrzał na Dzika, jakby własnym uszom nie wierzył, — potem się zaśmiał i uderzył w dłonie.

— O! to rozumiem! — zawołał. — Szukaj wiatru w polu! Kamień zdjąłeś mi z piersi.

— Wszelako powiem ci, że jestem z sobą w rozterce — odezwał się po chwili Dzik. — Szamil widocznie szuka walnej bitwy, wyzywa, a nie taki on, żeby się junactwem powodował, albo źle obliczył. To jest wódz z tej samej gliny, co Macedończyk, co Juliusz Cezar, co Napoleon.. Dagestan?.. czy to dla niego pole! Co on tu zrobi z garścią czerkiesów, których głowa na głowę nie będzie ćwierci miliona! W Europie, toby on dopiero pokazał co umie! A tu... zmarnieje w tym zaścianku!.. taki geniusz!... zmarnieje!.. Ot, gdybyśmy takiego mieli w 31-ym!

— Pan Bóg nie dał!. Co robić?.. Może się ulituje i da jeszcze kiedy.

Dzik, wzburzony nieco, przeszedł się po izbie.

— Pewnie, że da! — zawołał podniesionym głosem — Da! Ale pierwej prostujmy ścieżki Pańskie. Wielcy ludzie są z ducha narodu i to wcale nie pycha, jeśli który z nich powie o sobie: Jam jest Naród!

Po chwili, już uspokoiwszy się, mówił:

— Uważaj-że teraz, co powiem, bo o radę zapytam. Jeśli Szamil wyzywa, tedy jest pewny, że odrazu z nimi skończy, — no, a ty wiesz, co to znaczy: nikt z nich nie uratuje życia. Bój, potem rzeź, a potem uczta dla wilków i szakali!

— Alboż nie słusznie? Niech nie wtykają nosa do cudzego prosa!

— Nie o to idzie. Tam są nasi. Słyszałeś, co mówił Reutt? Za co oni mają ginąć? Szamil tak ściśnie Moskali, że jeno miazga zostanie. I na Sądzie Ostatecznym nie doszukają się oni swoich kości! Powiadam: za co nasi mają ginąć? Ten sam Reutt, człek praktyczny, pewnie, że z zacną myślą do swego gubernatorstwa dąży, a tego ani przeczuwa, że za parę dni może ziemię gryźć. No i ten zresztą, przyjaciel Władka... jakże się on pisze?... Moskal... książe... nie pamiętasz?

— Swiętopełk-Mirski?.. Jaki on tam Moskal!

— No, zapewne, nie Łapowników, ani Złodziejkin, wszelako jeden z tych, do których mogliśmy mówić: „I za waszą wolność!" On także znajdzie się w tym ukropie. Tych wszystkich chciałbym ratować... ot, Bóg widzi! choćby z narażeniem własnego życia!

— Hm!. I ja też nie od tego. Ale jak?

— Mamy pięćset szabel. Każda warta dziesięciu moskiewskich, albo czerkieskich. Jest to więc siła dziesięć tysięcy.

— Jakim cudem?! — śmiejąc się, zawołał Trylicki.

Uśmiechnął się także i Dzik, ale rzekł poważnie:

— Dziesięć, bo ja jestem wart tyle, co mój oddział.

— Słusznie!.. Jako żywo!

Dzik mówił dalej:

— Taką mając siłę, można żądać głosu w tej partyi, którą Szamil z Moskalami zagra! Skoro już mamy opuścić nasze gniazdo, to czyż koniecznie musimy oddalać się od pola bitwy, gdzie przecież będą nasi? Wsparliśmy Bakłanowskiego w Kargule, — ano, powiedz, nie mogłoby coś podobnego drugi raz się zdarzyć?

— Jest racya, jest!... nie przeczę!.. Byle tam nie natknąć się na Moskali, którzyby zaraz wezwali nas do wojska. To byłoby dopiero z deszczu pod rynnę!

— Niech że cię o to głowa nie boli. A jeszcze co powiem. Jużci Szamil nie zostawił swych jeńców w Dargu, bo to już miejsce bezbronne. Najpewniej za swym obozem ciąga ich, więc i kuzynkę Carlingtona, a gdzie ona, tam niechybnie krąży Władek, jeśli żyje. Możemy go tedy znaleźć, co daj Boże!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Umiejętności. Przyrzeczenie instytucyi tej ma już Dyrekcya Wystawy w ręku.

W drugim dziale tej grupy uchwalono naczelne miejsce dać instytucyom i towarzystwom naukowym, jako to: Akademii Umiejętności, Zakładowi narodowemu Ossolińskich, poznańskiemu Towarzystwu przyjaciół nauk, Towarzystwu literackiemu imienia Mickiewicza, Towarzystwu historycznemu lwowskiemu, Towarzystwu przyrodników imienia Kopernika i paryskiemu Towarzystwu historyczno-literackiemu.

Po za tym działem instytucyi i towarzystw naukowych, będzie jeszcze osobny dział wydawnictw ludowych, jako to: „Macierzy Polskiej“, lwowskiego Towarzystwa oświaty ludowej, Towarzystwa Kościuszki i Staszyca, poznańskiego Towarzystwa im. ks. Barzyńskiego, szląskiego Towarzystwa św. Jana Sankandra, warszawskie wydawnictwa Kazimierza Promyka i t. p. wreszcie okazy tak zwanej literatury straganowej, a zebraniem całego tego materyału zajmie się Koło literacko-artystyczne lwowskie.

Jako objaw najobfitszej produkcyi literackiej u nas, mają być wystawione w dziale literackim wszystkie utwory i publikacye Kraszewskiego, niemniej wszystkie wydania dzieł Mickiewicza.

W dziale księgarskim, uchwalono zaprosić do współudziału wszystkie firmy wydawców tak polskich, jak zagranicznych, trudniących się wydawnictwem dzieł polskich, a zarazem także wystawić dzieła wygasłych firm nakładowych, aby tym sposobem dać w przybliżeniu najdokładniejszy obraz produkcyi książkowej.

Dział dziennikarstwa polskiego rozpada się na następujące grupy: 1. Czasopisma polityczne, 2. literackie i ilustrowane, 3. fachowe, 4. ludowe.

Czasopisma te, które w dwóch egzemplarzach, zebrane będą w roku otwarcia Wystawy, najprawdopodobniej z datą 1 stycznia 1894 r. i każdego z nich jeden egzemplarz rozwieszony będzie według grupy do której należy, na ścianie, drugi zaś egzemplarz znajdować się będzie na stole, do przejrzenia dla zwiedzającej ten dział publiczności. Do działu tego wcielono także czasopisma ruskie, kaszubskie, łotewskie, hebrajskie i żydowsko-niemieckie, wychodzące w ziemiach dawnej Polski. Niemniej wszystkie czasopisma polskie wychodzące w Ameryce.

Dział drukarstwa obejmować będzie: nakłady własne istniejących firm drukarskich; wszelkie druki, wzory pism, odciski drzeworytów, stalorytów i fototypii używanych w książkach i pismach peryodycznych. Z działem tym łączy się także lejarnia czcionek. A więc należy okazać maszynę do lania czcionek w ruchu, a obok niej wystawić materyał surowy, wyrób sztegów, kwadratów, interlinij, oraz czcionek rozmaitego kroju i gatunku, itp. Pożądaną byłaby bardzo maszyna drukarska w ruchu.

Dział litograficzy zawierać ma oprócz maszyny litograficznej w ruchu, reprodukcye autograficzne, rysunki na kamieniu litograficznym, plany, mapy, a z działu chromolitografii: obrazy i obrazki, oleodruki, tudzież reprodukcye z oryginalnych obrazów.

Dział fotograficzny obejmuje fotografie osób, tak pojedyńczo jak w grupach; fotografie z widoków żywej natury i architektoniczne; fotografie z obrazów, rzeźb itp.

W dziale introligatorskim wystawione będą oprawy książek poczynając od najskromniejszych okładek szkolnych, aż do najwykwintniejszych, wkraczających już w dziedzinę sztuki, a oprócz tego okazy ram i ramek do fotografii, passe-partout, albumów, tek szkolnych i biurowych, pudełek itp.

Przewodniczącym sekcyi jest dr. Ludwik Kubala, jego zastępcą dr. Adam Asnyk, referentem Władysław Bełza, który też niniejszy program wypracował.

MAŁY FELJETON.

Z RIVIERY.

Nizza, dnia 29 marca.

Całe stosy jaj wielkanocnych, rozłożone w oknach sklepów, zarówno w handlowej dzielnicy księstwa Monako — Kondaminie, jak i górnym bulwarze Młynów, stają się hasłem odwrotu. Hotele i wille pustoszeją, a mniej zamożni ustępują miejsca magnatom. W takiej chwili i sługa wasz zabiera manatki, wybrawszy Paryż na wiosenne leże, nim w dalszą drogę wyruszy. A że droga ta, jak zresztą każda droga do nieznanego życia, nie po różach biedz musi, słusznem więc będzie pokrzepić ducha na szczytach górskich, zaś na nizinach zasięgnąć wróżby wyroczni.

Szczyty mam tuż przed sobą, jasnowidzących w Nicei nie braknie, więc dalej, przez góry i doły, na ulicę Pastorelli, gdzie Phyta Maghdim przyszłość przepowiada. Nie wymawiając, wycieczka taka do Nicei dorożką montekarlowską kosztuje 25 franków, prócz napiwku. Atoli, gdy idzie o krzepkość ducha — cóż znaczy marna garść mamony!... Przytem, towarzysz bierze na siebie połowę kosztów, gwoli więc otusze ruszamy pod górę. Szosa wyśmienita, konie dobre, humor dopisuje, równie jak pogoda — i oto trzy godziny drogi, jak z bicza strzelił... Wiem, że nic nowego nie napiszę, stwierdzając, że droga to piękna, a jednak napisać to muszę, bo wybuch zachwytu ciśnie mi się pod pióro na samo jej przypomnienie. Alpy Morskie wolne są wprawdzie od śnieżnych szczytów i nieprzebytych lodowców, nęcą jednak całem dziwactwem swoich poszarpanych kształtów, całą panoramą coraz to piękniejszych pejzażów, którym ręka ludzka, zwłaszcza po nad Rivierą, niemało czaru dodała. Trudno sobie wymarzyć coś równie wspaniałego, jak widok z Corniche, najwyższego szczytu, przez który przejeżdżać wypada. U stóp naszych przepaście pełne wysmukłych krzewów, ostro pokaleczonych głazów, z nieodzowną kaskadą galopującego z góry strumienia, dalej tarasy plantacyj winnych krzewów, zniżające się, niby szerokie stopnie, obramowane murem mlecznobiałym, aż ku pierwszym palmom, które bukietem swoich zębatych liści najeżone, strzegą drobniutkiego cacka — willi z wieżyczką, stanowiącej letnią siedzibę turysty. A od tej willi, podkreślonej równiutkim sznurem kolejowego toru, zbiega jeszcze niżej wązka dróżynka, niby rzeczułka, wprost do błyszczącej, jak łuska żmii, i wiecznie niespokojnej fali morskiej. Ach, to morze, z jego niezmierzoną tonią, z temi okrętami bielejącemi na horyzoncie, z tem zygzakowatem wybrzeżem przeszło dwumilowej przestrzeni, jaka gołem okiem ogarnąć się daje, wyrywa mimowoli tem większy wybuch zachwytu, że gnane wiatrem białe chmury, zacieniając słońce, barwią je co chwila już w ciemny szafir, już w jedwabisty połysk szmaragdu, już wreszcie we wszystkie mieniące się odcienia gołębiej szyjki. Że taki widok dodaje otuchy do życia — to niezawodna. Długo, długo patrzałem przed siebie, pełen dziwnego zadowolenia... Towarzysz, mniej sielankowy, uszanował jednak zachwyt rozczulonej duszy, spostrzegłem bowiem nagle, że zasiadłszy w powozie, ćwiczy sam podróżne „sandwich'e“ czyli buterbrody, zakrapiając je obficie koniakiem. — Profanie! — rzekłem — ty jesz!... — Aha! — odparł z obojętnością co najmniej Spinozy. Wzruszyłem ramionami i odszedłem na stronę, aby rzucić okiem na ruiny baszty Cezara, który ongi przeciągał tędy ku ziemi Gallów. Tu i ówdzie rzucone dziś forty francuskie oszpeciły mi nieco wrażenia. Wszędzie więc człowiek, nic tylko człowiek z całą potwornością swojego egoizmu!... Towarzysz ma słuszność — powróćmy do życia. Po chwili, gwarząc obojętnie, po nad Eze i Ville-Franche zjeżdżaliśmy ku rozlegle rzuconej po wzgórzach Nicei...

Była już pewnie godzina 5ta po południu, kiedy wierny podszeptom ciekawości, znalazłem się na ul. Pastorelli przed drzwiami mieszkania słynnej jasnowidzącej. Smoluch, w rodzaju naszej typowej Marysi, wpuścił mnie do gabinetu, więcej niż skromnie urządzonego, z niezawodnemi dodatkami *Petit Journala* na okrągłym stole jadalnym. Jak na instalacyę zbytkowną, o której dużo w anonsach „pisało“, pięcio-centymowy dziennik na porysowanym jesionowym stole — dość to licha poczekalnia, zwłaszcza, że czekać wypadło dobry kwadrans czasu. Ale oto drzwi sąsiedniego pokoju rozwarły się na oścież, i sława tegoczesna, odgadywaczka przyszłości, istota, która stawiała horoskopy takim znakomitościom, jak Boulanger, Lesseps i Dom Pedro, rozkrzyczana przez świadectwa pp. Vitu i Millaud'a (*Figaro*) i wyrazy uznania doktorów takich, jak Charcot, Lhuys itd., ukazała się na progu w całej okazałości swego powłóczystego szlafroczka, barwy nieba. Pełna, jasnowłosa blondyna, dobrej tuszy, o wyrazistem spojrzeniu okrągłych i wypukłych szafirowych oczu, z wargami odwiniętemi, z noskiem jak młody kartofelek, — tęga słowem i rasowa Francuzica, ukazawszy w uśmiechu szparę przednich szerokich zębów, zawezwała mnie ruchem wymownym i głosem trębacza gwardyi, do zajęcia miejsca w sąsiednim gabinecie, tuż przy sobie...

— Przybyłeś pan zasięgnąć mojej rady, — rzekła, nie dając mi przyjść do słowa.

— Tak, pani — zdołałem wybąkać — pochlebny rozgłos...

— Pfi! — przerwała nagle, skoczywszy ku szafie pełnej ksiąg uczonych. — Oto moja rekomendacya, — rzekła, odkrywając początek Apokalipsy: Phyta — Pytja, wyrocznia, kapłanka Apolina, Magdhim — oznacza inteligencyę, mądrość, wiedzę. To ja, panie! Nie wiem jednak, jakiej konsultacyi pan pragniesz. Wróżby odbywam czworako: chiromancya, kartomancya, astrologia, somnabulizm, wywoływanie duchów, oto są środki, jakiemi działam. Osobę żądaną wywołam panu za 50 franków; inne wróżby kosztować będą połowę. Cena to bardzo przystępna, płacono mi daleko więcej...

— Zapewne, pani, ale ja bo... zadowoliłbym się...

— Chiromancyą, kartomancyą, astrologią. Bardzo słusznie, bo nawet seans duchów mógłby się panu zbyt długim wydać i nużącym... Więc, racz pan zdjąć rękawiczkę z lewej ręki, koniecznie z lewej...

— Z całą przyjemnością, pani dobrodziejko, ale ja za całe posiedzienie 10 fr. ofiaruję tylko... odparłem z efronteryą starego wyjadacza.

— Ależ to niepodobna! Mogłabym panu zrobić jakieś ustępstwo, bo widzę, że mam przed sobą człowieka inteligencyi, o czem świadczy wysokie czoło pańskie...

— Tu stuknęła mnie kilkakrotnie w kąty czoła dwoma pulchnemi paluszkami. — Zapłacisz mi pan ludwika.

— Żałuję mocno, szanowna pani, powracam z Monte Carlo.

— Aha ha ha! więc już dobrze, dobrze, 15 franków za cały seans. *Ah, mon Dieu, c'est un tripot là!..* Jeżeli pan jednak sądzisz, że panu dam jakie wskazówki do gry w ruletę, to zawód pana spotka. Z góry ostrzegam, że gra jest mi obcą. Los silniejszym jest odemnie. W którym roku się pan urodziłeś. W 1855? Ależ panie, to data i moich urodzin. Jesteśmy rówieśnikami — i panie, nie zginiemy nigdy, mamy Saturna, Saturna, panie, który nas strzeże i dobywa z toni niepowodzenia. Rodziłeś się pan w styczniu, a więc liczbą pańską jest trójka. Trzeci wagon w pociągu, trzeci dzień w tygodniu, 3, 13, 23, godzina 3-a, słowem trójka w najrozmaitszych swoich kombinacyach. Pokaż mi pan lewą rękę, koniecznie lewą — linia życia wspaniała!.. Linia niepowodzeń skośna. Strzeż się pan kobiet, jesteś pan szczery, zanadto szczery, ale co widzę, to gwiazda pana, przy tym pępku... To mówiąc, uszczypnęła w wygórowane miejsce dłoni, poniżej środkowego palca, ujmując je w górę i patrząc się w nie z upodobaniem.

Poczem, odsunęła się nieco i rzekła uroczyście:

— Nie umrzesz prędzej, niż w 80tym roku życia. Ani żelazo, ani żywioły, ani ręka zbrodniarza, nic cię zgładzić nie zdoła. Dokonasz żywota w swojem łóżku, wśród dostatku i żałującego cię otoczenia.

Głos podniesiony, oczy wpojone we mnie, ręka prawa z rozsuniętemi palcami tuż przed moim nosem, na czole lekkie przemarszczenie wysiłku, szyja pochylająca się z przygarbionego korpusu — wszystko to świadczyło o proroczem przekonaniu mówiącej. Odetchnęła po chwili....

— To warte 15 franków, panie? — rzekła nareszcie jakby z tryumfem.

— Ooo! zdołałem wyrzec.

Aliści: — Zbieraj pan! — krzyknęła, podsując mi zrazu talię kart dziecinnych z obrazkami. — Zawsze lewą ręką i zawsze po trzy. Wykonałem zlecenie. Czeka pana podróż długa i daleka, bardzo korzystna, podróż ta spowoduje zmiany w pańskiem życiu, nie zaraz, ale... tak, w kwietniu, już te zmiany poczujesz pan... Jakkolwiek — mówię ci (znów się odsuwa): Do 40-go roku życia walczyć będziesz, po czterdziestu spodziewaj się poprawy losu, dostatków, dobrobytu. Ale wierzaj mi, z losem walka trudna, a więc walczyć trzeba uporem i siłą. Jednem „Muszę!“ zrobisz więcej, niż całym cebrem łez i rozpaczy. „Chcę i muszę!“ Oto twoja dewiza.

— A jeśli nie mogę? — poważyłem się przerwać.

— Możesz, bo cię Saturn broni! — wrzasnęła przytomnie. — Taki Boulanger naprzykład, mówiłam mu to samo, nie miał Saturna i zginął.

— Pani mu śmierć przepowiedziałaś?

— Przepowiedziałam, że zginie u stóp kobiety. Zginął na grobie kochanki.

— A Dom Pedro?

— Dom Pedro — jak dziś pamiętam, kiedy mnie do niego zawezwano, leżał na szezlongu, jedna noga obandażowana, twarz pełna cierpienia, tak biała niemal, jak broda.

— Słaby jesteś, miłościwy panie! — rzekłam, klękając przy chorym.

— Serce, serce mnie boli.

— O tak, serce nieocenione za życia...

— Więc nie mam już wrócić...

— Niestety!... Odparłam ze smutkiem głębokim. — Dwie duże grube łzy stoczyły się po tej zacnej twarzy. Wkrótce umarł.

— Natomiast mam kłopot z Lesseps'em. Wyobraź pan sobie, przed jakimś rokiem w jednym z salonów publicznie oświadczyłam, że znakomity inżynier umrze w pierwszym kwartale 1893 roku. Dziś mamy 22 marca, a on żyje... Już od kilku tygodni chwytam dzienniki, wczytuję się w telegramy — żyje!... To może narazić na szwank moją reputacyę — a przecie taki starzec mógłby się już dobrze wynieść.... I jeżeli ze dni 8 jeszcze żyć będzie...

— To co?

To mam zawsze wykręt. Moralnie biorąc, dzięki Panamie, umarł w pierwszym kwartale 1893 roku.

Więc może i ja będę żył także tylko moralnie do 80-go roku? Może duch mój tylko, rozgłos, sława...

— Pan jesteś piszącym? — zapytała, badawczo, mierząc mnie oczyma.

— Niestety! pani...

— Piszącym?... — Przygryzła wargi. — To dobrze, przysługa za przysługę; gdybyś pan potrzebował kiedy pomocy kobiety ustosunkowanej, kobiety świat'owej... mnie wszyscy i ja znam wszystkich.

— O, stokrotne dzięki — wszakże przedemną podróż tak daleka...

— Żartujesz pan?.. Zajdźże kiedy do mnie, chętnie widzieć pana będę u siebie.

Dobyłem portmonetki:

— Oto umówione honoraryum.

I pożegnałem wyrocznię, która mnie odprowadziła do drzwi, zapraszając uprzejmie do odwiedzenia jej jeszcze raz.

KRONIKA.

Lwów 5 Kwietnia.

Mianowania. Minister handlu zamianował adjunktów budownictwa: Jana Langa w Przemyślu, Erazma Langa we Lwowie, Józefa Müllera w Tarnopolu i Franciszka Patlewicza we Lwowie, inżynierami dla technicznej służby dyrekcyi poczt i telegrafów we Lwowie.

Honorowy sekretarz legacyjny, Tadeusz hrabia Koziebrodzki, mianowany został rzeczywistym sekretarzem legacyjnym.

Starszy komisarz skarbowy we Lwowie, Józef Dobija, mianowany został starszym inspektorem straży skarbowej.

Odznaczenie. Cesarz nadał krajowemu inspektorowi szkolnemu Stanisławowi Olszewskiemu we Lwowie, z okazyi przeniesienia go na własną prośbę wstan stałego spoczynku, order korony żel. III kl., z uwolnieniem od taksy.

W Czytelni katolickiej odbędzie się we czwartek dnia 6 bm. zebranie towarzyskie, na które zarząd wszystkich członków uprzejmie zaprasza.

Kurs specyalny dla maszynistów, prowadzących lokomotywy, odbędzie się w państwow. szkole przemysłowej w Krakowie, w miesiącach kwietniu, maju i czerwcu 1893 r.

Dyrekcya kolei państwowych zawiadamia, że pociąg Nr. 211, począwszy od dnia . kwietnia, kursować będzie tylko do Suczawy, a to z tego powodu, że król. rumuńska rada sanitarna celem uchylenia niebezpieczeństwa zawleczenia cholery nie pozwoliła na kurs tego pociągu ze Suczawy do Berdujeni.

Sprawozdanie lwowskiej komisyi Towarzystwa Opieki nad weteranami polskimi z r. 1831 za miesiąc luty i marzec.

Do hody: Subwencya Reprezentacyi m. Lwowa 1100 złr., urzędnicy techniczni Wydziału krajowego za miesiąc luty 3 złr. 90 cnt., za marzec 7, obywatele byłego obwodu stryjskiego 65·48, Szczepańska Malwina, Jerzy hr. Borkowski i Sydon Kępicz po 10, przez Redakcyę *Przeglądu* 20, przez Redakcyę *Kuryera Lwowskiego* 7, Związek koleżeński b. seminarzystek i nauczycielek zamiast wieńca dla śp. Józefa Supińskiego, członka honorowego 5, — ogółem wpłynęło 1243 złr. 98 ct.

W miesiącu lutym rozdano 33 weteranom zapomogi stałe i datki nadzwyczajne na koszta kuracyi w kwocie 392 złr. i koszta pogrzebu jednego weterana 25 złr.

W miesiącu marcu rozdano 32 weteranom zapomogi stałe, nadzwyczajne i dodatek na święta w ogólnej kwocie 645, koszta pogrzebu jednego weterana w kwocie 25 złr.

Dr. Bernard Goldman, skarbnik.

Z powodu cholery, zagrażającej nam ciągle od strony Podola rosyjskiego, aby zapewnić na wypadek pojawienia się zarazy w naszym kraju dostateczny zastęp sił lekarskich, wzywa Namiestnictwo lekarzy i chirurgów, iżby już teraz zgłaszali się w sanitarnem biurze Namiestnictwa z gotowością pełnienia w danym razie służby. W czasie cholery każdy z lekarzy i chirurgów, oprócz zwrotu kosztów podróży, otrzymywać będzie 10—15 zł. dziennych dyet, a w razie gdyby zajęty w służbie padł ofiarą zarazy, wdowa i sieroty po nim pobierać będą pensyę tak, jak po lekarzach rządowych.

Co się tyczy dwóch podejrzanych wypadków w Kudryńcach, w powiecie borszczowskim, to badania bakteryologiczne, przeprowadzone przez dr. Krokiewicza, odkryły rzeczywiście w wydzielinach obu chorych bakcyle przecinkowe. Dnia 1 i 2 kwietnia zachorowały w Kudryńcach znowu dwie osoby na cholerę. Na miejsce pojawienia się cholery wyjechał onegdaj dr. Lachowicz i koncepista biura sanitarnego dr. Rosenbuch.

Dr. Chawkin, lekarz rosyjski, wynalazca sposobu szczepienia cholery, udał się do Indyj, gdzie zamierza wypróbować skuteczność swego odkrycia na ludziach. Zaopatrzył się w listy polecające do władz indyjskich, które z góry oświadczyły gotowość przyjścia mu z pomocą. Chawkin zostanie w Indyach przez rok i zorganizuje w Kalkucie specyalny komitet szczepienia cholery. Zeszłego roku chciał czynić doświadczenia ze swoim wynalazkiem w Europie, ale napotkał na opór władz i dlatego pojechał do Indyj.

„Dzieci szczęścia.“

Historyę bardzo znaną na bruku warszawskim, a może i w kraju w ogóle, opowiedziała nam pani Walerya Marrenowa, historyę rodziny, która żyjąc nieopatrznie, lekkomyślnie, z dnia na dzień, słowem, „nad stan,“ pada bezpowrotnie po pierwszej stanowczej klęsce („Dzieci szczęścia;“ powieść, nakład p. S. Lewentala):

Pan Sawiński, adwokat warszawski, zarabiał i zarabia dużo pieniędzy. Zamiast myśleć o przyszłości, o losie dzieci, które wychowuje do życia bezczynnego, wydaje cały dochód, nie odkładając ani grosza na „czarną godzinę.“

Względnie jeszcze dość młody, w pełni sił męzkich, „wzięty“ adwokat, nie spodziewał się rychłej katastrofy. Ale wypadki chodzą po ludziach i człowiek nie zna rzeczywiście ostatniej godziny swojej.

Przyszła ona na pana Sawińskiego w chwili, kiedy się jej najmniej spodziewał. Nagła śmierć zabrała go z ziemi, a z nim razem runęła podstawa bytu i swobody całej rodziny.

Gdy się za ojcem zamknęła brama grobu, dowiedziały się dopiero dzieci, że dostatek ich zależał jedynie od pracy zmarłego.

Pouczyła je pod tym względem pusta kasa, nie zawierająca nawet tyle, ile było potrzeba do pokrycia pierwszych, naglących wydatków.

Więc rozstąpiło się oczywiście natychmiast szerokie koło przyjaciół i znajomych, życzliwych i zaufanych. Rozprzęgły się stosunki i stosuneczki, zlepione luźno przez obiady, rauty i bale zamożnego prawnika.

Dla dzieci zgasłego zaczęło się nędzne życie świeżych bankrutów, nie zdających sobie na razie sprawy z nowego położenia.

Jakże mogło być inaczej?

Nie pokazano im zbliska walki o byt powszedni, owego ohydnego boju z niepewnem jutrem, który nietylko głodem morzy, niewygodą męczy, ale upokarza ciągle i poniewiera. Nie przyzwyczajono ich do pracy, nie dano im w rękę fachu chlebodajnego.

Otoczeni od kołyski wykwintem dostatku, obracający się w sferach, w których nie mówi się o ubóstwie, a słyszy się tylko o przyjemnościach, młodzi Sawińscy byli po śmierci ojca podobni do rozbitków, wyrzuconych na niegościnne brzegi obcego, wrogiego im narodu. Nie rozumieli nawet języka, którym teraz do nich przemawiano.

Było ich troje: syn i dwie córki.

Najstarsza, panna Marcela, osoba wytworna, zarządzająca domem przy pomocy licznej służby, wzięła po ojcu próżność i upodobania pańskie. Ubrać się sama nie potrafiła, do czesania potrzebowała fryzyjerki, o gospodarstwie nie miała żadnego wyobrażenia.

Syn mecenasa, Stanisław Sawiński, nie skończył nauk, bo, jak się dowcipnie wyraża, nie pozwolili mu na to profesorowie, obciąwszy go przy egzaminach. Więc bawił się, udając złotego młodzieńca, hulał, grał w karty, romansował itd.

Druga córka, panna Jadwiga, należy do do rodziny sympatycznych podlotków.

Głównie Marcelę wykoleiła śmierć ojca odrazu, tem więcej, że spotkał ją na samym wstępie do ubóstwa ciężki zawód.

O córkę rozgłośnego mecenasa starał się młody, zdolny adwokat, który, chociaż nie liczył na posag panny, bo wiedział, że go nie będzie posiadała, spodziewał się jednak korzyści materyalnych z protekcyi i wyrobionych stosunków Sawińskiego. Żeniąc się z Marcelą — spekulował pan Ryszard Czercza — wezmę z czasem po teściu rozległą klientelę, czyli, co to samo znaczy, znaczną monetę. Gdy nagła śmierć jego rachuby rozwiała, zmieniły się i zamiary karyerowicza.

Warto powtórzyć rozmowę między Czerczą a Marcelą, odsłania ona bowiem wybornie psychologię współczesnego pokolenia.

— Nie byłbym nigdy prosił o twoję rękę — mówił Czercza — gdyby twój ojciec nie był w położeniu takiem, że mógł usunąć przedemną trudności. Nie obchodziło mnie wcale to, co posiadałaś, Marcelo. Czułem się w możności dać ci to wszystko, do czego przywykłaś i więcej jeszcze: otoczyć cię atmosferą dla ciebie konieczną. Inaczej, byłbym szalony, ja, co muszę sobie dopiero wszystko wywalczyć, gdybym tworzył rodzinę bez podstaw żadnych i poślubiał kobietę taką, jak ty, przywykłą do wykwintów życia...

— Ubodzy ludzie żenią się także — wtrąciła Marcela — pracują wspólnie...

Czercza uśmiechnął się ze smutkiem.

— Żony ubogich mężów wychowują się inaczej. Dziś, choćbyś tego chciała, nie zmienisz swojej natury. Ty nie masz żadnego pojęcia o ubóstwie. To dla ciebie dźwięk tylko bez znaczenia; ty nie powinnaś, nie możesz poznać go nigdy. Ja wzrosłem w jego twardym uścisku, borykałem się z niem od pierwszych dni młodości i wiem, jak ono gorzkie. Jest ono nietylko cierpieniem, ofiarą, troską nieustanną, ale jednym szeregiem upokorzeń, przeciw którym buntuje się duma. Niedołężni tylko mogą je przyjąć bez szemrania, ja zaś niedołężnym nie jestem.

— Posłuchaj mnie — ciągnął dalej. — Tobie zdaje się, iż potrafiłabyś znieść tę groszową dolę bez przykrości, że byłabyś zdolną rachować się, oszczędzać, mieszkać w ciasnych, dusznych pokoikach, sprzątać je sama, jeść nędzny, źle zgotowany obiad, chodzić w wytartej sukni i jeszcze drżeć o niepewne jutro.

— Nie mówmy o mnie — zawołała Marcela.

— Przeciwnie, tu idzie o ciebie — przekonywał Czercza — tyle przynajmniej, co o mnie. Czyż uważasz mnie za tak wielkiego samoluba, iż, myśląc o przyszłości, siebie tylko biorę w rachubę? Nie trzeba się łudzić! Ty i ja cierpielibyśmy tem srożej, że w głębi duszy jedno drugiemu przypisywałoby nieszczęście. Ty w nędzy, ty, co na perfumeryę wydajesz paręset rubli rocznie, ty, która niezdolna jesteś włożyć sama sukni lub uczesać się bez pomocy, ty, co nie potrafisz nawet zrobić kawy, lub zapalić lampy, ty — w nędzy, Marcelo!

W ten sposób przemawiał narzeczony do narzeczonej w chwili bardzo ciężkiej, bo po śmierci ojca i w obliczu niedostatku. Nie znalazł ani jednego słowa pociechy dla nieszczęśliwej dziewczyny, złamanej klęską podwójną, nie przygarnął jej do siebie, nie przytulił i utulił, okrutny, jak rozum, którym się tylko powodował.

A jednak miał ten rezoner słuszność, chociaż robi wrażenie brutalnego samoluba. Miał słuszność, jako wychowaniec epoki ostatniej, jako syn smutnych „ideałów“ materyalistycznego na świat poglądu, który wydrwił całą poezyę życia i obniżył wartość człowieka.

Do pokolenia współczesnego wołano od kołyski: bądź trzeźwe, trzeźwe i jeszcze raz trzeźwe! Nie łudź się, przypatrz się każdej rzeczy uważnie, namyśl się dobrze, zanim coś postanowisz. Tylko to, co widzisz, co pochwycić możesz, jest prawdą, tylko rozkosz zmysłowa i przyjemność są godne zachodów ludzkich, wszystko bowiem inne wymyślili fantaści, głupcy, w celu oszukiwania siebie samych.

Więc jesteśmy trzeźwi.

Pracując, czując, kochając, zachwycając się nawet, rozumujemy, pytamy bezustannie: dlaczego, na co, po co? Nie uznając siły i znaczenia woli, oglądamy się zawsze za podstawą pewną.

A cóż jest pewniejszego od pieniędzy? One dają dostatek, wygody, niezależność, stanowisko towarzyskie i szacunek motłochu, one stawiają człowieka po nad wszelki trud pospolity, po nad walkę o byt i poniewierkę nieszlachetnych. Lada spekulant, zbogacony na geszeftach, któremi się „przesadna“ uczciwość brzydzi, urąga zasłudze, pracy, honorowi, talentowi. Ukłonią mu się i tak wszyscy, córki jego rozbiorą dziedzice starożytnych nazwisk, stowarzyszenia i instytucye zasypią go urzędami i godnościami, gmin będzie mu zazdrościł... Na cóż więc honor, uczciwość, zasługa itp. strachy dawnych, bezpowrotnie pogrzebanych czasów?

Opinia? Dziś podaje się bogatym szubrawcom rękę, a u oszustów zjada się proszone obiady i tańczy się na balach. Jeśli się zrobi jakąś uwagę, to tylko półgłosem, bo nikt nie ma odwagi powiedzieć do podłości: jesteś nikczemna!

W czasach, w których wyniesiono pieniądz do godności możnowładzcy, a za jedyny cel życia wskazano używanie zmysłowe, nie można się dziwić rozumowaniom takich Czerczów. Myślą tylko, czują i czynią, jak muszą, jak im każe chwila, z której wyszli.

Czercza ma zupełną słuszność. Jako człowiek ubogi, dorabiający się w pocie czoła, w nędzy i w poniewierce kawałka chleba, miał czas i sposobność do przypatrzenia się ludziom i stosunkom. Przekonawszy się nie raz, nie dwa, że dziś nie ten wygrywa, kto wierzy w siebie, lecz zawsze tylko ten, co posiada środki materyalne, stracił ochotę do dalszej walki z niepewnem jutrem. Sam zmęczony, zniechęcony — cóżby robił z kobietą, wychowaną w pojęciach, zasadach i upodobaniach bogactwa, z osobą, ceniącą ponad wszystko wygody dostatku? Na razie, po ślubie, możeby Marceli wystarczyły zachwyty miłości, ale później? Już po roku przypomniałaby sobie komfort domu ojcowskiego, a wówczas zaczęłoby się jej nieszczęście. Pokolenie współczesne nie rozumie ofiary, nie znosi ubóstwa, uważając je za kalectwo, za grzech śmiertelny.

Czercza ma słuszność, jest typem prawdziwym, pochwyconym z wirów bieżących, ale okrutna ta jego słuszność, bo odmawia jednostkom, pozbawionym majątku, prawa do szczęścia, do życia.

Może już czas, abyśmy zmienili pogląd na świat, co bowiem ostatnie pokolenie wymedytowało, nie uznośniło nam wcale wędrówki doczesnej. Filozofia materyalistyczna w całej jej rozciągłości, bez względu na nazwy poszczególne, usunęła głównie podstawę z pod stóp ubogiej inteligencyi, gdyż dając jej mnóstwo apetytów, pragnień, pożądań, nie wyposażyła jej równocześnie w środki do zdobycia „szczęśliwości ziemskiej“. Stąd ów cichy żal, który trawi ludzi współczesnych, ów zdawkowy pesymizm, polegający w znacznej części na zawiedzionych nadziejach dostatku, na wstręcie do pracy bez skutków niezwykłych. Stąd owe chorobliwe gonienie za groszem, za czarodziejem otwierającym wrota do raju używania.

Wszędzie, w całej Europie, ma materyalizm na sumieniu miljony rozbitków, zgorzkniałych przed wypiciem pełnej czary rozczarowań ludzkich, wszędzie zdemoralizował człowieka, obniżył charaktery, zdeptał godność osobistą, zohydził cichą cnotę i pracowitą zasługę. U nas, zaszczepiony na gruncie naszej rasowej nieopatrzności, oddziałał oczywiście jeszcze szkodliwiej.

Co było zawsze rakiem, toczącym nasze ciało społeczne — owo nieszczęsne życie nad stan, rozwinęło się szerzej. Widzieliśmy w ostatnich czasach ojców rodzin, znanych przez długie lata z uczciwości, a kończących sromotnie, samobójstwem, — z powodów hańbiących.

Zmiana poglądu na świat sprowadzi oczywiście i zmianę zjawisk społecznych, bo człowiek myśli, czuje i czyni tak, jak mu każą zasady, które wyznaje. Wiadomo, że i zbrodniarze zastawiają się bardzo często własną filozofią, tłumaczącą nieraz bardzo zręcznie konieczność morderstwa i rabunku.

Dopóki nie przyjdą ludzie nowi, wychowani w pojęciach innych, dopóty będziemy się prawdopodobnie spotykali w powieściach jeszcze bardzo często z „kochamkami“ w rodzaju Czerczów, którzy, raniąc bez miłosierdzia ufające im serce, twierdzą i sądzą rzeczywiście, że postępują szlachetnie.

Czercza mówi wyraźnie:

— Mogę poświęcić uczucia moje, mogę nie zważać na ból własny i nędzę, ale nigdy nie zrzeknę się przekonania uczciwości i honoru.

Czercza nie kłamie w istocie, działa bowiem zgodnie z swojemi przekonaniami.

Życzyćby wszakże należało, aby społeczeństwo nasze wydawało coraz mniej ludzi takiej uczciwości i takiego honoru. Byłoby nam wówczas bezwątpienia przyjemniej na ziemi, z której plebejski rozum materyalizmu zrobił ohydną norę, wygodną jedynie dla szubrawców.

Powieść pani Marrenowej, którą wolno nazwać bardzo cennym przyczynkiem do psychologii pokolenia współczesnego, czyta się z pożytkiem. Jest to dzieło dojrzałego talentu, znającego doskonale stosunki, które odtwarza.

Teodor Jeske-Choiński.

Zaręczyny. W pierwszy dzień świąt Wielkanocnych odbyły się zaręczyny panny Kamilli Jandównej, córki powszechnie szanowanego w naszym mieście radzcy ces. dra Franciszka Jandy z panem Józefem hrabią Hoyos'em, porucznikiem 14 p. huzarów.

Prywatystki, które zamierzają składać egzamin dojrzałości w c. k. seminaryum nauczycielskiem żeńskiem we Lwowie z końcem bieżącego roku szkolnego, wnoszą podania do dyrekcyi zakładu, ul. Skarbkowska l. 39, najdalej po dzień 15 maja r. b. Podania te, należycie ostemplowane, mają zawierać: 1) metrykę urodzenia (na dowód ukończonego 19go roku życia); 2) świadectwo zdrowia, wystawione przez lekarza urzędowego; 3) świadectwo moralności i 4) krótki opis odbytych nauk, a oraz wykaz dzieł do egzaminu przestudyowanych.

Do Magistratu lwowskiego próśb cztery: *Pro primo:* Żeby zakazał pasać krowy na Wysokim Zamku. Podczas świąt publiczność była przerażona widokiem trzech krów, które pasł na trawnikach mieszkający tam dozorca. Żeby w publicznym ogrodzie w stolicy kraju pasały się po trawnikach krowy, tego chyba nikt nie przypuszczał nawet pod rządami p. Mochnackiego.

Pro secundo: Żeby polecił strażnikom miejskim, aby pilnowali parku Stryjskiego. Uliczniccy wyrywają bowiem świeżo zasadzone drzewka i urządzają sobie z nich bicze lub pręty. Tymczasem podczas świąt publiczność nadaremnie szukała strażników, aby im wskazać to nadużycie: nie było w całym parku ani jednego.

Pro tertio: Żeby naprawił bramę tryumfalną, stojącą przy wjeździe na Wysoki Zamek. Zgniła bowiem od dołu i grozi zawaleniem się.

Pro quarto: Żeby nakazał usunąć z ulic te stosy błota i śmieci, które pozbierano i poukładano przed paru tygodniami, a które teraz — gdy wyschły — wiatr znowu roznosi po ulicach i płucach przechodniów.

W sprawie Łyczakowa otrzymaliśmy od jednego z mieszkańców tej dzielnicy następujące uwagi: „Dzielnica łyczakowska jest w szczególniejszy sposób zaniedbywana przez władze miejskie mimo, że już ta okoliczność, iż szerzące zaraźliwe choroby mają tam swoje stałe siedlisko, powinna spowodować troskliwszą opiekę nad tą dzielnicą Lwowa. Kto chce widzieć formalną rzekę błota, niech przejdzie się ulicą Łyczakowską w porze wilgotnej. Błoto, zmieszane z gnojem i rozmaitemi odpadkami, płynie tak długo po ulicy, póki nie zgęstnieje, to znaczy póki część rzadka nie wsiąknie w ziemię, przyczem naturalnie dostaje się do rur żelaznych, któremi wodę sprowadzają. Rury te oglądałem sam. Są wewnątrz żółte z rdzy i nieczystości. I niechże teraz zdrów będzie ten, kto takiej wody z gnojem i rdzą używa.

W porze letniej nie można okna w pomieszkaniu otworzyć, a przechodząc przez ulicę trzeba iść z zamkniętemi oczami i ustami, bo tumany kurzu są czasami takie, że na dziesięć kroków oddalenia nie można dostrzec przejeżdżającego wozu.

Trudno zrozumieć jakie wyrachowanie ma magistrat w tem, że sprowadza ciągle wapień i jego tylko używa do szutrowania ulic, kiedy tyle razy przekonał się, że wapień nie wytrzyma pod kołami wozów nawet jednego roku, sprowadza różne choroby unosząc się w postaci pyłu nad ulicą i cztery albo pięć razy większe wydatki pociąga jak zwykły bruk kostkowy. Niechaj władze miejskie policzą ileby kosztował bruk kostkowy, który z pewnością wytrzyma 12 lat, a ile wynosi przez ten przeciąg lat coroczny wydatek na szuter, na częste naprawy, na wywóz błota, a ile kosztują doktorzy, apteka i życie mieszkańców? Ojcowie miasta Lwowa mają na sumieniach swoich wszystkie te łzy wdów i sierot po osobach, które pomarły wskutek chorób grasujących na Łyczakowie.

W imieniu więc mieszkańców tej części miasta odzywam się, ażeby skłonić radę miejską do zaprowadzenia na całej ulicy Łyczakowskiej bruku kostkowego, po którymby woda prędko mogła spływać, osobliwie przy takim spadzie jaki jest na tej ulicy, rury zaś wodociągowe powinny być wewnątrz i zewnątrz porządnie wyczyszczone, ażeby każdy był pewny, że używa wody czystej, bez żadnej trującej domieszki.

Wreszcie i na tem należałoby pamiętać, ażeby na Łyczakowie nie gromadzić wszystkich szpitali, kiedy tyle jest miejsca dla nich za miastem. Dopiero po usunięciu tych wszystkich wad odetchnie Lwów, nękany teraz ciągle obawą epidemii wybuchających co roku na łyczakowskiem przedmieściu“.

Ofiarność na cele wystawy krajowej wzrasta z dniem każdym dowodząc niezbicie, iż śmiało rzucona a zdrowa idea coraz szersze obejmuje koła. Pocieszającem jest najbardziej, że udziały na fundusz zakładowy płyną nie z jednej tylko klasy lub warstwy; przeciwnie do dyrekcyi wystawy nadchodzą oferty ze wszystkich stron od osób, a zwłaszcza instytucyi, które bezpośredniej korzyści z wystawy spodziewać się nie mogą, lecz stają do szeregu z tak pięknego odczucia obowiązku. Od ilości tej tych datków zależeć będzie powodzenie wystawy, jeśli być ona ma, jak to w programie słusznie wskazano „powszechną“. Budujący przykład ofiarności dają nam Towarzystwa zaliczkowe, które wszystkie niemal pospieszyły z zasiłkami. Na cele wystawy przeznaczyło: Towarzystwo zaliczkowe lwowskie z kwotą 800 zlr., za niem poszły: Stanisławów 50 zlr., Dobromil 10 zlr., Tarnobrzeg 50 zlr., Stare Miasto 20 zlr., Przemyślany 50 zlr., Maryampol 10 zlr., Maków 50 zlr., Krasiczyn 20 zlr., Gorlice 50 zlr., Gliniany 100 zlr., Towarzystwo powróźnicze w Rudymnie pospieszyło z ofiarą w kwocie 250 zlr., Towarzystwo tkackie w Korczynie 15 zlr., Spółka zaliczkowa urzędników we Lwowie złożyła 50 zlr., Towarzystwo urzędników w Przemyślu 10 zlr., Koło gimnastyczno-śpiewackie nauczycieli szkół ludowych lwowskich 10 zlr. Nie obojętne są również dla wystawy oddziały Towarzystwa gospodarczego. Z udziałami po 20 zlr. przystąpiły Brody, Kamionka Strumiłowa, Złoczów, Żółkiew. Tomasz subskrybował 45 zlr., przewodniczący pan Oktaw Doschott nadesłał od siebie 250 zlr., jakoteż od jp. Antoniego Szadbeja 25 zlr., Konstantego Ladomirskiego 25 zlr., Augusta Gumińskiego 25 zł., Jana Jakubowicza 10 zlr., Antoniego Abgarowicza 10 zlr., Alfreda Orskiego 10 zlr. Należy mieć niepłonną nadzieję, iż przy odbywających się obecnie zgromadzeniach dorocznych innych instytucyi krajowych cel ten nie będzie pominięty.

Podróże naukowe. Mając przystąpić do organizacyi internatu w dublańskiej szkole rolniczej, postanowił Wydział krajowy wpierw zbadać podobne urządzenia w innych krajach i w tym celu wysyła za granicę p. Frommla, znanego agronoma, ekonomiczną dóbr hr. Siemieńskiego-Lewickiego. Nadto odbywa ze stypendium Wydziału krajowego podróż za granicę ks. Masiaski instruktor krajowy dla mleczarstwa aby zapoznać się z najnowszymi wynalazkami i urządzeniami z tej dziedziny gospodarstwa.

Pożar. We wsi Podhajczykach, koło Rudek wybuchł wczoraj wielki pożar i obrócił w perzynę przeszło 100 zagród włościańskich, cerkiew i szkołę. Troje dzieci zginęło w płomieniach.

Ekspozyturę krajowego biura melioracyjnego otworzył Wydział krajowy dnia 1 bm. w Kołomyi. Stało się to w wykonaniu uchwał Sejmu, który podczas wiosennej sesyi roku zeszłego polecił Wydziałowi krajowemu stopniowe utworzenie dziesięciu ekspozytur biura melioracyjnego w całym kraju. Kołomyjska ekspozytura, zostająca pod kierownictwem p. Ludwika Sobolewskiego, ma za zadanie udzielać bezpłatnej pomocy w uregulowaniu stosunków wodnych w gospodarstwie, a działalność jej obejmować będzie powiaty: kossowski, śniatyński, horodeński, kołomyjski, zaleszczycki i borszczowski, a dopóki ekspozytura biura melioracyjnego nie zostanie otwartą w Stanisławowie, rozciągać się będzie także na powiaty: stanisławowski, bohorodczański, nadwórniański, tłumacki, podhajecki, buczacki, czortkowski i husiatyński.

Podania o bezpłatną pomoc tej ekspozytury wnosić należy na ręce jej kierownika do Wydziału krajowego.

Zmarli. Józef Duszymiński, pełnomocnik dóbr p. Władysława Fedorowicza w Oknie, człowiek wielkiej prawości i zalet charakteru, jeden z założycieli Towarzystwa wzajemnej pomocy oficyalistów prywatnych i długoletni kasyer tarnopolskiego oddziału tego Towarzystwa, umarł w Oknie. — Marya z Robseków Schullerowa, żona emerytowanego urzędnika państwowego, umarła we Lwowie w 64 roku życia. — Aloizy Wegeman, emerytowany poborca podatkowy, umarł we Lwowie w 77 roku życia. — Księżna Zenejda z Hołyńskich Lubomirska, umarła w Równem, na Wołyniu, w samą niedzielę wielkanocną. — W Pradze umarł poeta i publicysta czeski Franciszek Wacław Jerzabek. — We wsi Tokarówce, w gubernii wołyńskiej, umarł włościanin Teodor Krosnowski w 120 roku życia i pozostawił po sobie potomstwo, liczące 140 głów.

Stan powietrza. Termometr + 1° Reaumura o godzinie 7 zrana, a w południe + 6° Reaumura. Barometr 764. Idzie w górę. Dzień jasny, pogodny, ale wietrzny, przytem dość chłodny. Wiatr północno-zachodni.

Gapski filozofuje.

— Nie znam głupszych stworzeń nad kury! Znoszą najmniej jaj właśnie wtedy, gdy jaja są najdroższe!...

Odpowiedź Administracyi. *WP. K. R. w Przemyślu.* Zmiana adresu kosztuje 20 ct. Kto nie opłaci tej kwoty, temu adresu nie zmieniamy, bo nas samych sfabrykowanie nowego adresu kosztuje niemal tę kwotę.

Teatr. Dziś we środę „Już go mam“, komedya w trzech aktach Rysz. Ruszkowskiego. — Jutro w czwartek: „Lunatyczka“, opera w czterech aktach Belliniego.

Literatura i Sztuka.

* **Henryk Bereny**, Węgier, artysta skrzypek, uczeń Joachima w Berlinie i Leonarda w Paryżu, bawi obecnie we Lwowie u swej rodziny, zaprodukował się już wielokrotnie mistrzom tutejszym i z wielkiem powodzeniem popisywał się w kasynie wojskowem. Obdarzony prawdziwie węgierskim temperamentem, łączy z nim szkołę najznakomitszych mistrzów europejskich i porywa słuchaczy wstępnym bojem. Nietylko klasyczną treść obszernego repertoaru, ale i narodowego czardasza obrazuje tak, jak żaden artysta skrzypek dotąd tego nie czynił. Aby się wcielić w charakter narodowej gęśli węgierskiej, podróżował dwa lata z najznakomitszą muzyką cygańską. Był z nią nawet w Warszawie, gdzie kierował koncertami w „Dolinie szwajcarskiej“. Później koncertował w Paryżu, Dreźnie, Berlinie itd. z powodzeniem również świetnem.

My go usłyszymy tu w koncercie we wtorek dnia 11 bm., poczem skrzypek zamierza urządzić podróż koncertową po całej Galicyi; i tak w Stanisławowie 13 bm., w Kołomyi 15 bm., a w Czerniowcach 16 bm.

W koncertach tych weźmie udział zaszczytnie z estrady koncertowej znana śpiewaczka pani Zbierzchowska.

Z przyjemnością oczekujemy tych koncertów, a znawcy rokują im niebywałe powodzenie. — Może i my, równie jak Wiedeń, znajdziemy nowego Thomsona. — Ponieważ artysta ten liczy zaledwie 22 rok życia, więc świetnej przyszłości doczekać się może.

Rozmaitości.

— **Karyery śpiewaków.** Włochy są uprzywilejowanem polem walk, toczonych przez artystów, nie mających szczęścia, zwłaszcza przez kobiety, gdyż mężczyźni częściej od nich porzucają karyerę, jeżeli nie mogą w niej zdobyć sobie powodzenia. Wszyscy zazwyczaj uczą się we Włoszech, tam debiutują, tam rozpraszają się ich nadzieje, poczem rozpoczyna się egzystencya nędzna i pełna upokorzeń. Przyjrzyjmy się im bliżej w chwili, w której własna zarozumiałość, zamiłowanie do zbytku, lub namowy przyjaciół wpłynęły na postanowienie obrania karyery śpiewackiej.

Ci przyszli niefortunni artyści korzystają wszędzie z rozległych środków bezpłatnego kształcenia. Wykłady odbywają się w konserwatoryach, utrzymywanych na koszt państwa bezpłatnie. Medyolan, będący stolicą muzykalną Włoch, posiada najsławniejsze konserwatoryum pod względem nauki śpiewu, a metoda, przyjęta w niem, uważaną jest za typ, któremu dorównać się starają w innych miastach półwyspu.

Czterdziestu uczniów i czterdzieści uczennic do nauki śpiewu przyjmuje rocznie konserwatoryum medyolańskie. Wykłada w niem czterech profesorów śpiewu: San Giovanni, Giovannini, Leoni i pani Fillipi, wdowa po sławnym krytyku muzycznym, który pierwszy zwrócił uwagę Włochów na muzykę Wagnera. Uczennic bywa zazwyczaj daleko więcej niż uczniów, których liczba stopniowo zmniejsza się i w 1889 roku wynosiła zaledwie czterech. Każdy nauczyciel uczy zazwyczaj dziesięć panien, które bywają mu powierzone z chwilą wstąpienia do konserwatoryum i pozostają pod jego kierunkiem przez cały czas pobytu. Klas we właściwem tego słowa znaczeniu nie ma. Profesorowie posiadają oddzielne pokoje, w których miewają wykłady cztery razy na tydzień. Lekcya uczennicy trwa zaledwie minut kilka, inne przez ten czas słuchają. Ściany zdobią zwierciadła, w których panny śpiewając mogą studyować wyraz twarzy, jednak ponieważ ich ideał gracyi różni się zazwyczaj wielce od ideału reszty śmiertelników, wynalazek ten nie daje pożądanych rezultatów. Jedna przewraca oczami, druga każdą nutę zaznacza poruszeniem dolnej szczęki, gdy trzecia podczas śpiewu trzyma stale rękę na sercu.

Egzamina roczne odbywają się w lipcu. Opowiadają sobie po cichu, że u egzaminatorów, będących mężczyznami i Włochami zarazem, piękna twarz ma wpływać na stopień tak samo, jak dobry głos lub dobre wykonanie. Studya, trwające przez lat cztery, kończą się egzaminami ostatecznemi i rozdaniem świadectw. Uczniowie, którzy otrzymali świadectwa, zrobili wielki krok w karyerze śpiewaków, nie mających powodzenia.

Zazdrość, plotkarstwo i kłótnie, które obrzydzają zawód teatralny, zaczynają kwitnąć już w konserwatoryum i nierzadko uniemożliwiają spokojne studya. Przejęty list miłosny, pisany do czternastoletniej uczennicy przez adoratora w tym samym wieku, starczy za materyał do plotek i nieporozumień dla całej klasy na pół dnia.

Uczniowie, pobierający lekcye prywatne, czynią szybsze postępy. O profesorach medyolańskich można powiedzieć bez przesady, że „ich imię — legion“. Uczniowie zazwyczaj trzymają się jednych i tych samych profesorów. Bieda temu, kto jest zmiennym w tym kierunku, bo wyrabiają mu głos najpierw na tenorowy, potem na barytonowy, w końcu na basowy. Przed ukończeniem nauki biedny śpiewak traci najzupełniej widoki wystąpienia kiedykolwiek na scenie.

Uczniowie zazwyczaj nie są szczodrze wyposażeni darami ziemskimi i wiodą ciężki żywot. W pewnym domu medyolańskim, gdzie przemieszkuje znaczna liczba panien z konserwatoryum, lokal i pożywienie kosztuje dziennie dwa franki. Właścicielka zakładu tłomaczy sobie słusznie, iż goście, płacący tę kwotę, nie mogą być wybredni i powinni poprzestawać na kawałku chleba i 60-ciu centylitrach zupy na śniadanie i na obiad.

Pewien sławny nauczyciel śpiewu ma zamiłowanie do podróży i biedni uczniowie zmuszeni są jeździć wraz z nim i ponosić wydatki nadzwyczajne, które pokrywają dzięki drobiazgowym oszczędnościom. Kłopoty, jakich doświadczają w podróży, byłyby często zabawne, gdyby nie świadczyły o wielkiem ubóstwie. Dwaj barytoni amerykańscy, posiadający nader szczupłe fundusze, postanowili połączyć zajęcia, nie mające z sobą nic wspólnego, mianowicie śpiew z gotowaniem potraw. Każdego ranka przed lekcyą szli na targ z koszykiem i wracali obładowani prowizyą na cały dzień. Ukończywszy kurs śpiewu i solfeggia, zabierali się do gotowania potraw na lampie naftowej.

Pewna Niemka, mająca bardzo małe środki utrzymania, żyła właściwie dwoma obiadami na tydzień, które kupowała sobie w podrzędnej restauracyjce. Młody Anglik, syn pastora, przysposabiający się nie wiadomo po co do karyery śpiewaka operowego, zmuszony był przyjąć służbę w pewnym domu, a że nie umiał wcale gotować, zajmował stanowisko niższe od kucharka. Pośmiewiskiem całej klasy była stara sześćdziesięcioletnia dama, która przyrządzała sobie potrawy na lampce spirytusowej. Utrzymywano, że posiadała niegdyś piękny głos, który straciła przez złą naukę i ma nadzieję odzyskać go na nowo pod kierunkiem profesora J. S. Złośliwi opowiadali, że z czasem będzie mogła dyrygować chórami aniołów, gdyż w wieku tak podeszłym nic już na ziemi spodziewać się nie może.

Ukończywszy naukę śpiewu, uczniowie wprawiają się w grę sceniczną. Uczą się chodzić, siadać, i rozmaitych gestów, używanych tradycyjnie do wyrażania pewnych uczuć. Przy słowach *„io t'amo“* (kocham cię) rękę kładzie się na sercu; przy *„io t'adoro“* (ubóstwiam cię) serce przyciska się obiema rękami; nienawiść wyraża zaciśnięta pięść, podniesiona nad głową. Uczniowie bardziej wydoskonaleni drżą na żądanie i padają w agonii na ziemię, przyczem starają się naśladować objawy śmierci przez otrucie. W operze niebo umieszczone jest w środku galeryi. Tam śpiewacy powinni zwracać swe oczy, gdy żądają protekcyi sił wyższych.

Uczniowie, którzy przyswoili sobie zasady sztuki dramatycznej, uczynili drugi ważny krok, zbliżający do tak upragnionych debiutów. Przyszły śpiewak udaje się do jednego z agentów teatralnych zatwierdzonych przez rząd (w Medyolanie jest ich szesnastu), w towarzystwie swego nauczyciela lub z jego listem polecającym. Młodym damom radzą zazwyczaj ubierać się na taką wizytę w kostyum oryginalny, używać pudru i malować twarz. Utrzymują, że agenci nie lubią twarzy kobiecych bez tych dodatków.

W atmosferze, napełnionej dymem tytoniowym wśród zgrai próżniaków i pasożytów teatralnych, oblegających stale agencyę, debiutantka śpiewa aryę z opery. Agent przysłuchuje się, mówi następnie parę komplimentów o pięknym głosie, talencie i przyrzeka interes załatwić jak najlepiej. Owe przyrzeczenia są tylko utartym zwrotem mowy, gdyż agent posiada zazwyczaj do dyspozycyi przeszło dwadzieścia młodych osób z takim samym lub może lepszym głosem od debiutantki. Angażowanie utrudnia niezmiernie wielka konkurencya. Każda Włoszka, znajdując się w konieczności zabezpieczenia sobie bytu, woli zarabiać na chleb swym głosem, niż jakimkolwiek innym sposobem. Nawet osoby, posiadające wystarczające fundusze, by żyć spokojnie, obierają sobie teatr, jako zawód. Wszyscy uczniowie konserwatoryum i kształcący się u profesorów prywatnych marzą o zawodzie śpiewaków, a ponieważ we Włoszech bardzo rzadko bywają koncerty, wszystkie nadzieje spoczywają na operze. Artyści trzecio i czwartorzędni mają sposobność większą do występowania na scenie niż w każdem innem państwie, gdyż opery wystawiają tu w najmniejszych miasteczkach, jeżeli tylko znajduje się w nich teatr lub budynek, który go może zastąpić.

Gdy kilku jednako uzdolnionych współzawodników ubiega się o jedno miejsce, wówczas agent myśli o swej kieszeni i zawiera umowę z tym, który daje najwięcej. Młodzi śpiewacy za możność wystąpienia w lepszym teatrze muszą się zwykle drogo opłacać, a często rutynowani artyści dają znaczne sumy, aby śpiewać na pierwszorzędnej scenie.

Gdy artysta wreszcie ukończy konserwatoryum, zaczynają się nędze zawodu. Pobyt na scenie małego prowincyonalnego miasteczka nie bywa wcale rozkoszny, zwłaszcza dla osób posiadających wrodzony wstręt do kurzu, brudu, niemiłych zapachów i prostaczej mowy.

Rzeczywistość zbyt często wywołuje rozczarowanie. Pewna Włoszka, z zamożnego domu, wielka zwolenniczka sceny, debiutowała w małej włoskiej mieścinie Fritigho w znanej operze „Faworyta“. Teatr mieścił się w śpichlerzu. Drzwi od garderoby debiutantki nie można było zamknąć. Wiatr dął licznemi szparami w ścianach. Zaledwie artystka ukończyła swą garderobę i czekała na znak, ażeby wyjść na scenę, zjawia się napół ubrany dyrektor orkiestry, chwyta grzebień i zaczyna porządkować rozczochrane włosy.

Uczesawszy się, przeprasza za niespodzianą wizytę i wyjaśnia, iż jedna „primadonna“ posiada w całym teatrze grzebień. Zaledwie nieszczęśliwa debiutantka zdołała ochłonąć z podziwu, gdy uszu jej dochodzi piekielna wrzawa na scenie. Tenor, grający rolę Fernanda, miał wystąpić w kostyumie dworskim, tymczasem w ostatniej chwili okazał się brak dość ważnej części garderoby, mianowicie pończoch. Daremnie zaklinają wszyscy tenora, by wyszedł na scenę bez pończoch, artysta jednak pozostaje nieczułym na wszystkie błagania. Dyrektorowi, doprowadzonemu do ostateczności, przychodzi zbawienna myśl do głowy: każe zdejmować pończochy jednej z chórzystek. Nie zważając na protestacye i krzyki właścicielki pończoch, rozkaz wykonano niezwłocznie i tenor ukazał się na scenie w kompletnym kostyumie dworskim.

Publiczność medyolańska sądzi, iż artyści powinni sobie uważać za zaszczyt, gdy występują w jej obecności. Bywa więc okrutna w swym gniewie, choć z drugiej strony łatwo się entuzyazmuje. Gdy tenor podnosi się na palcach z narażeniem pęknięcia żyły w nodze i wyrzuca z gardła bardzo wysoką nutę, niezwłocznie rozlegają się ogłuszające okrzyki: „bravo!“ „bravissimo!“

Pojęcia sceniczności, zdaje się, nie posiada ani publiczność włoska, ani artyści. Najważniejsze sceny w operach bywają powtarzane na żądanie słuchaczy, którzy nie troszczą się bynajmniej o przerwy w akcyi. Nikomu nie zależy na utrzymaniu iluzyi. Zdarza się więc, iż w trzecim akcie „Dinory“ bohaterka załamuje się na moście niedbale sklejonym.

W jednym z pierwszorzędnych teatrów medyolańskich podczas przedstawienia „Fausta“, widziano w pierwszym akcie czerwone pióro przy kapeluszu Mefistofelesa, na długi czas przed jego ukazaniem się z pod ziemi. Takie rzeczy nikogo tam nie rażą.

Na ulicach Medyolanu rozbrzmiewają zewsząd arye z rozmaitych oper i solfeggia. Daje to pojęcie, jaka masa śpiewaków przygotowuje się do karyer chybionych.

Zresztą życie artysty-śpiewaka daje do pewnego stopnia i zadośćuczynienie za doznane zawody i cierpienia. W sercach kobiet szczególniej znajdzie się zawsze kącik na zachowanie nadziei. Każda z nich przekonaną jest najmocniej, że ostatnie *fiasco* spowodował katar lub zła rola, którą jej narzucono, a czasami intrygi i zawiść nieprzyjaciół. Pewna śpiewaczka napróżno walczyła przez lat 15 w przeświadczeniu, iż powodzenie otworzy w końcu przed nią podwoje sławy i majątku, byleby raz jeden tylko wystąpiła w „Carmen“; inna znów pokładała całe nadzieje w „Lunatyczce“.

Karyera śpiewaka nie wymaga w rzeczywistości ciężkiej pracy, żaden głos bowiem nie byłby w stanie wytrzymać ćwiczeń, trwających dłużej niż dwie godziny. Odpowiada więc wybornie *dolce far niente*, leżącemu w usposobieniu Włochów.

Część ekonomiczna.

§ **Ring w pszenicy**, na wielkie rozmiary, powstał w Chicago. Klika spekulantów, na czele której stoją bogaci handlarze nierogacizny John i Michał Cudahy, postanowiła wyzyskać tę okoliczność, iż cena pszenicy w całym świecie jest obecnie nadzwyczaj niska i skupiła przeszło 11 milionów buszli pszenicy, aby później dowolnie cenę jej podwyższyć. Wedle innych wersyi skupiła ta klika 60 milionów buszli, to jest więcej niż połowę wszystkich zapasów, jakie ma obecnie Ameryka, co jednak wydaje się wielce nieprawdopodobne. Faktem jednak jest, że wszystkie śpichlerze i magazyny w Chicago zawalone są pszenicą tej kliki, że byłaby ona nierównie więcej pszenicy skupiła, gdyby mogła dostać składy na jej pomieszczenie.

§ **Sprawozdanie** tygodniowe izby handlowej i przemysłowej o cenach zboża i produktów we Lwowie od 18 go do 25-ego marca 1893 r. bez opłaty akcyzowej: Pszenica 7·55—7·75, żyto 5·95 do 6.15, jęczmień browarny 5·——5·45, pastewny 4·35—4.50, owies 5·25—5·60, hreczka 7·——7·60, kukurudza zeszłoroczna 5·5 —5·85, kukurudz. nowa 4.80—5·15, groch do gotowania 6·00—10·—, pastewny 4·70 do 5·50, proso 5·00—5·25, bobik 5.——5.50, wyka 4·75—5·25, koniczyna 60·— do 85·—, anyż rosyjski 32·00—38·00, anyż płaski 32.00—38·—, kminek 19·— do 22·00, rzepak zimowy 11.——11·50, letni nowy —·0 do —·0, lnianka 8·75 do 9.50, nasienie lniane 10· – do 11.25, nasienie konopne 8·25 do 8·75, tymotka 23·00—28·00, chmiel 75—90, nafta zwykła —·— do —·—, salonowa —·— do —·—, wosk ziemny —·—do—·—. Spirytus 10.000 litr. pr. gotowy kontyngentowany, z podatkiem konsumcyjnym 47·50—47·75.

§ **Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.** Kraków 4 kwietnia.

Na dzisiejszym targu na Kleparzu żadnego nie było ruchu, ponieważ z powodu święta izraelici w handlu zbożowym nie brali udziału. Tym sposobem żadnych nie było danych do określenia rzeczywistej ceny, a notowania, które podajemy, są tylko nominalne.

Płacono: za pszenicę białą od 8·20—8·40, za czerwoną od 8·00—8·35, za żółtą od 8·00 do 8·30; za żyto od 6·65—6·90; za jęczmień browarny od 6·25—6·75, na kaszę od 5·30 do 5·40; za owies od 6·00—6·35, za rzepak od 11·50 do 12·30, za koniczynę czerwoną od 56 do 70, za białą od 55 do 70 zł. — wszystko za 100 kilogramów.

Bank galicyjski dla handlu i przemysłu.

Telegramy „Przeglądu“.

Florencya 5 kwietnia. Giers odjeżdża stąd do Petersburga prawnopodobnie 11 kwietnia.

Belgrad 5 kwietnia. Wedle ostatecznych obliczeń, rozporządzać będzie rząd na pierwszem posiedzeniu skupczyny większością dziewięciu głosów.

Neapol 5 kwietnia. Włoski następca tronu złożył wczoraj cesarzowej austryackiej wizytę na pokładzie jachtu „Miramare“.

Paryż 5 kwietnia. Na prośbę Carnota, Dupuy dalej prowadzi rokowania o złożenie nowego gabinetu.

Bukareszt 5 kwietnia. Izba przyjęła konwencyę, zawartą z Austro-Węgrami w sprawie ochrony marek fabrycznych i odroczyła się do 17 kwietnia.

Wiedeń 5 kwietnia. Minister wojny zniósł zeszłoroczne rozporządzenie, którem z obawy przed zawleczeniem cholery, uwolniono od stawiania się do ćwiczeń broni te wszystkie osoby, należące do armii austro-węgierskiej, które przebywają w Rosyi. Nakazał zaś minister, aby ci rezerwiści, przebywający w Rosyi, od chwili wstąpienia w szeregi poddani byli pięciodniowej dokładnej obserwacyi lekarskiej.

Wiedeń 5 kwietnia. *Wiener Zeitung* ogłasza, że z początkiem roku szkolnego 1893/4, otwarte ma być w Buczaczu gimnazyum z językiem wykładowym polskim. Nadto ogłasza tęn dziennik otwarcie klas równoległych z ruskim językiem wykładowym przy polskim gimnazyum w Kołomyi. W tym roku otwartą ma być klasa pierwsza (która już funkcyonuje — Przyp. Red.), a następnie co roku dalsza klasa.

Praga 5 kwietnia. Komisya dla odgraniczenia okręgów sądowych uchwaliła jednogłośnie wydzielić powiaty czeskie Laun, Libochowitz i Raudnitz z pod jurysdykcyi niemieckich sądów obwodowych w Lutomierzycach i Bruex, a przydzielić je do nowo utworzyć się mającego czeskiego sądu obwodowego w Schlanie. Sąd ten obejmować będzie 9 powiatów z 337 gminami i 254.383 mieszkańcami, pomiędzy którymi jest podobno wszystkiego 2.063 Niemców.

Paryż 5 kwietnia. Wczoraj wieczorem udało się nareszcie p. Dupuy złożyć nowy gabinet, którego skład jest następujący: Prezydyum i tekę spraw wewnętrznych obejmuje Dupuy, tekę spraw zewnętrznych Develle, finansów Peytral, sprawiedliwości Guerin, oświaty Poincaré, handlu Terrier, wojny Loizillon, marynarki Rieunier, robót publicznych Viette, rolnictwa Viger.

Waszyngton 5 kwietnia. Bartlett Tripp zamianowany został posłem Stanów Zjednoczonych w Wiedniu.

Belfast 5 kwietnia. Wczoraj odbyła się tu wielka demonstracya przeciwników nadania Irlandyi samorządu. W manifestacyi tej wziął udział także Balfour i miał mowę, w której wyraził nadzieję, że hrabstwo Ulster (Anglicy protestanci) nie będzie nigdy zmuszone walczyć o swe prawa. Gdyby wszakże przyszło do tego, to należy pamiętać o tem, że postępowanie, które da się usprawiedliwić w obec tyrańskiego króla, jest także dopuszczalne w obec tyrańskiej większości parlamentarnej.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Drodzy Sodalisi.

Zatrzymawszy się w Listopadzie parę dni we Lwowie, dowiedziałem się z prawdziwą radością iż kaplica przylegająca do kościoła OO. Jezuitów, we Lwowie, w czasie zaborów skonfiskowana przez Cesarza Józefa II, zwróconą została przez Najjaśniejszego Pana; zawdzięczając inicyatywie Superiora OO. Jezuitów we Lwowie, Wielebnego O. Piotra Bapsta, który nader wielkie zwalczył trudności. Kwestya materyalna jest obecnie jedyną przeszkodą w doprowadzeniu kaplicy poświeconej imieniu Maryi do należytego porządku. Udaję się przeto do Was drodzy Sodasili. Okażmy się wiernymi sługami, zwłaszcza, iż idzie o większą chwałę Królowej naszej. Przyłóżmy wszelkich starań, by w powróconej kaplicy jak najprędzej modły zanosić się mogły. Czyż znajdzie się między nami choć jeden, który powiedzieć może, iż wolnym jest od trosk lub przykrości? Mamy przeto o co kołatać. Jeżeli nie dla siebie, prośmy dla drugich. Pomagajmy sobie wzajemnie, zwłaszcza w tych czasach ogólnego zepsucia, w czasach kiedy religia pozbawiona wszelkich praw, zesłaną jest do ciężkich robót.

Połączmy wolę z czynem, a przekonamy się, iż wiele zrobić możemy, jeżeli prawdziwie chcemy.

Łaskawe, choć najdrobniejsze datki prosze zechcieć do 15 Czerwca b. r. pod adresem: Wiedeń, Hotel Royal przesyłać.

Pozdrawiając drogich Sodalisów, pozostaje wiernym ich kolega

78 *Mieczysław Jurjewicz.*

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 5 kwietnia godz. 2 min. —

Akcye kred.	356.25	Galicyj. obligi propinacyjne	96·80
Alpiny	54·10	Wied. losy	177·50
Kredyty węg.	414·50	Akcye tyton.	185·25
Anglobanki	156·—	Austr. renta p.	96.85
Uniony	261.75	Elbethale	243·—
Ludwiki	219·50	Länderbanki	258.30
Nordbany	294·50	Renta zł. węg.	115·90
Lombardy	116·50	Bankvereiny	130·80
Losy tureckie	51·80	Węg. renta p.	95·45
Staatsbahny	308·50	Ruble	1·2450
Czerniowieckie	261·50		

Usposobienie słabe.

Lwów. Z Izby handlowej 5 kwietnia 1893

1. Akcye za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy.

	płacą		żądają	
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. w. a.	219	—	222	—
„ Lwow.-czer.-jass. 200 zł. w. a.	259	50	262	50
Banku hipotecz. galic. 200 zł. w. a.	365	—	—	—
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	—	—	215	—
Listy zastawne za 100 zł.				
Banku hip. galic. 5% 40 „	101	—	101	70
Banku hip. galic. 5% z 10% pr.	110	—	110	70
Banku hip. 4½% wa. lok. w 50 lat.	100	—	101	70
Banku krajowego 4½% wa.	100	50	101	20
Tow. kred. galic. 4% niezokr.	98	—	98	70
„ „ „ 4% „ 41½	97	—	—	—
„ „ „ 4% „ 52 l.	100	60	101	30
„ „ „ 4 „ 58	97	—	—	—
4. Obligi za 100 zł.				
Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	105	—	—	—
Galic. fund. propinacyjnego 4%	96	90	97	60
Bukow. fund. propin. 5% w. a.	102	—	—	—
Kom. banku kraj. 5 prc. w. a. I em.	102	—	—	—
Pożyczka kraj. z r. 1873 z pr. w. a.	104	50	—	—
„ „ „ 1883 4½%	100	50	101	20
6. Losy.				
Losy miasta Krakowa	23	25	25	25
„ „ Stanisławowa	34	—	37	—
5. Monety.				
Dukat holenderski	5.66		5.76	
Napoleondor	9.61		9.71	
Półimperyał rosyjski	9.70		—.—	
Rubel rosyjski srebrny	1.25—		1.30—	
„ „ papierowy	1.24½		1·26½	
100 marek niemieckich	59.25		—59·85	

18)

FATALNA POMYŁKA.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

przez

A. B. EDWARDA.

Tłómaczyła z angielskiego Zofia baronowa Harting.

(Ciąg dalszy).

Ciotka i stary mój przyjaciel w orderach zasiedli do winta, ja zaś pozostałam sama we framudze weneckiego okna. Nikt do mnie nie zagadał, nikt mnie nie poprosił do tańca, ogarnęło mnie więc dziwne uczucie osamotnienia.

Tak upłynęła długa godzina. Opodal mnie przesuwały się promieniejące uśmiechem twarze zaróżowione tańcem; lekkie, młodociane postacie, tonące w obłokach przejrzystej gazy i muślinu, wirowały unoszone rytmem upajającego walca; kwiaty u gorsu i warkoczy rzucały woń omdlałą w powietrze, a jaskrawe szarfy i szeleszczące jedwabie przewijały się wpośród czarnych fraków. Na całą tę fantasmagoryę balu patrzyłam z ukrycia, nie śmiąc wejść do sali, której widok tak mnie nęcił. W końcu, czując się opuszczoną od wszystkich, oparłam czoło o szybę i zaczęłam cicho płakać.

— Co widzę? moja pieszczotka tutaj! i sama jedna! — odezwał się nagle głos Hugona tuż za mną. — Czemu nie przejdziesz do sali, *mignonne*?

Zawstydzona tem, że mnie zastał płaczącą, milcząc wsunęłam się głębiej jeszcze we framugę okna. On jednak, niezrażony tem, położył mi dłoń na ramieniu i troskliwie pochylił się ku mnie.

— Tobie coś jest, *carina*. Spójrz na mnie i powiedz co?

Wzruszona do głębi słodyczą jego głosu, wybuchnęłam płaczem. W jednej chwili przysunął krzesło, usiadł, posadził mnie na kolanach i utuliwszy mnie na swej piersi, począł okrywać pocałunkami.

— Cicho, cicho! Uspokój się, Barbarina! — prosił czule, gładząc moje włosy. — Przestań płakać, moja jasnooka księżniczko! Już wiem, jak to było... zapomnieli wszyscy o niej i biedactwo moje tak się rozżaliło. No, nie płacz, maleńka! Zaprowadzę cię do gospodyni, która zmyje ślady łez tych pięknych oczek, a potem przejdziemy do balowej sali i zatańczymy sobie.

— Tańczyć? — przerwałam. — Ja będę tańczyć?

— Rozumie się i to ze mną. A co! wiedziałam, że z po za tej chmurki na czole zaraz ukaże się słońce!

To mówiąc, poprowadził mie wzdłuż szerokiego korytarza do schludnie umeblowanego pokoiku, gdzie niemłoda już osoba, ubrana w czarną jedwabną suknię, zajętą była nalewaniem herbaty do rzędem poustawianych na srebrnych tacach filiżanek. Dobra ta staruszka umyła mi twarz świeżą wodą, przygładziła włosy, przewiązała szarfę, poczem pan Faguhar, wziąwszy mnie za rękę, poprowadził do galeryi portretowej, rzęsiście oświetlonej jakby za dotknięciem czarodziejskiej różeczki na wspaniałą salę balową. Na pierwszy rzut oka całość sprawiała wrażenie, jakby olbrzymiej altany. Stare portety zdawały się uśmiechać w ramach splecionych z zielonego mirtu i jemioły, a całe ściany, świeczniki i chór obwieszone były festonami zieleni, przeplatanej chryzantemami, wśród których dyskretnie przeświecały chińskie, różnobarwne latarnie.

Chór, na którym zasiadła orkiestra, przystrojony był flagami różnych narodowości, a na przeciwległej ścianie, zajmując ją całą prawie, królował w niepodzielnym majestacie swoim Paweł Weroneńczyk. Olśniona i tchu pozbawiona, zatrzymałam się w progu, wpatrując się z zachwytem w scenę roztaczającą się przed mojemi oczami.

Naraz jedna z tańczących par zatrzymała się opodal nas dla wypoczynku.

— To ładnie, panie Farguhar! — zawołała dama. — Zaprosiłeś mnie pan do walca i nie przyszedłeś upomnieć się o niego. Czemże się pan wytłómaczysz teraz?

— Zdaję się na łaskę pani, lady Floro — odparł mój towarzysz. — Wyznaję, iż srogo zawiniłem. Pociesza mnie to tylko, że widzę, iż znalazłaś pani godniejszego odemnie zastępcę.

Dama rozśmiała się, potrząsając głową. Była to ciemnowłosa piękność, o matowej cerze i dumnej postawie, przypominającej Kleopatrę Tennysona.

— Ta udana pokora nie rozbraja mnie — rzekła. — Będę nieubłaganą.

— W takim razie nie pozostaje mi jak skazać się dobrowolnie na śmierć lub wygnanie. Racz pani, kiedy mnie potępiasz tak okrutnie, uczynić wybór dla mnie pomiędzy arszenikiem i Algierem, Patagonią czy też kulą pistoletową?

— Ani to, ani tamto. Odpokutujesz pan za swoje przestępstwo na miejscu, kończąc ze mną tego walca.

Hugon skłonił się głęboko i opasał kibić jej ramieniem.

— Dla tak ponętnej czyścowej kary któżby się nie chciał narazić na wieczne potępienie? — rzekł pochlebczo.

Lady Flora uśmiechnęła się znowu; niedbałem skinieniem głowy odprawiła swego tancerza i wsparłszy białą, arystokratyczną dłoń na ramieniu gospodarza domu, zniknęła z nim razem w tłumie wirujących par.

Westchnęłam, spoglądając z zazdrością za nimi. Tancerz, tak bez ceremonii odprawiony przez lady Florę, ulitował się nademną i rzekł ze współczuciem:

— Czy to się godziło tak na koszu osadzić panienkę? Gdzieżbyś panna chciała usiąść? Czy tam, pod chórem?

— Nie — odparłam skwapliwie. — Przy Pawle Weroneńczyku.

— Nie mam przyjemności znać tego pana — rzekł mój nowy przyjaciel, poziewając zlekka. — Ale zawsze będzie go można odnaleźć w tłumie. Jak mu to na imię?

Nie mogłam się powstrzymać od serdecznego śmiechu.

— Ależ ja mówię o tym obrazie! — rzekłam. — Chciałabym tak usiąść, aby módz się jemu przypatrzyć.

— O! to co innego, teraz rozumiem. To chodzi o ten bohomaz, który kosztował sześć tysięcy. Jest też na co patrzeć!.. No, ale chodź panienka, kiedyś taka ciekawa.

Wziąwszy mię za rękę, jął torować drogę w pośród tańczących i posadził mnie na pustem krześle, obok okna, na drugim końcu sali. Podziękowałam mu, a pozostawszy samą, zaczęłam śledzić oczami taneczną parę, która mnie najwięcej interesowała.

Pan Farguhar i lady Flora, uniesieni zawrotnym wirem walca, przesunęli się parę razy przed mojemi oczami. Rozmawiali tańcząc, a on patrzył w jej piękne, dumne oblicze z wyrazem zachwytu.

— Nic mnie tu nie zatrzymuje w kraju — mówił do niej. — Bez związków rodzinnych człowiek jest jak okręt puszczony na rozhukane morze. Gdyby wszakże...

Nie dosłyszałam więcej, ale choć byłam dzieckiem tylko, czułam jak ostre żądło zazdrości ukłuło mnie w samo serce. Jego wymowne, pełne uwielbienia spojrzenie i głos drżący ciepłem jakiemś uczuciem, dopowiedziały resztę. Ona słuchała go zapłoniona tryumfem, czy radością. W myśli porównywałam ją z drugiemi i acz niechętnie, musiałam przyznać, że była najpiękniejsza ze wszystkich. Och! zazdrości dziecinne bywają okrutne... tem okrutniejsze, że nie oparte na żadnej wyrozumowanej podstawie.

Po raz trzeci wir sprowadził ich blizko mnie. Rozmawiali o obrazie Pawła Weroneńczyka.

— Jest dobrze umieszczony, ale źle zawieszony — mówiła lady Flora. — Światło pada nań niekorzystnie. Gdyby był pochylony nieco naprzód, wydałby się o wiele efektowniej.

— Ma pani słuszność — potwierdził pan Farguhar. — Czy pani sobie życzy, abym zaraz to uczynił? Nic łatwiejszego.

— Byłabym bardzo rada.

— Aby panią zadowolnić, gotów jestem poprzestawiać wszystkie obrazy.

To mówiąc, skinął na stojącego opodal lokaja, wydał mu rozkaz, a po chwili tenże sam służący powrócił wraz z Tipooem, niosąc małą pokojową drabinę. Niektórzy z obecnych uśmiechnęli się znacząco, lecz większa część gości nie zwróciła na to uwagi.

— Mam nadzieję, że to nie będzie zbyt trudne, ani kłopotliwe — rzekła lady Flory, wahając się.

— Ależ bynajmniej. Spuszczą tylko nieco sznury. Ostrożnie, Tipoo! Czy te haki są dość mocne?

— Gdyby obraz spadł i został uszkodzony, nie darowałabym sobie tego nigdy — rzekła lady Flora.

— Wielki Boże! nie pomyślałem o tem. Ustąp pani, proszę, bo mógłby cię zabić na miejscu! zawołał Hugon.

Rozśmiała się obojętnie i ustąpiła parę kroków.

— Nie myślałam w tej chwili o sobie — odparła. — Zdaje mi się wszakże, iż należałoby go podeprzeć z tej strony.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: **Wacław Masłowski.** Papier braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządca: Walenty Hodak.